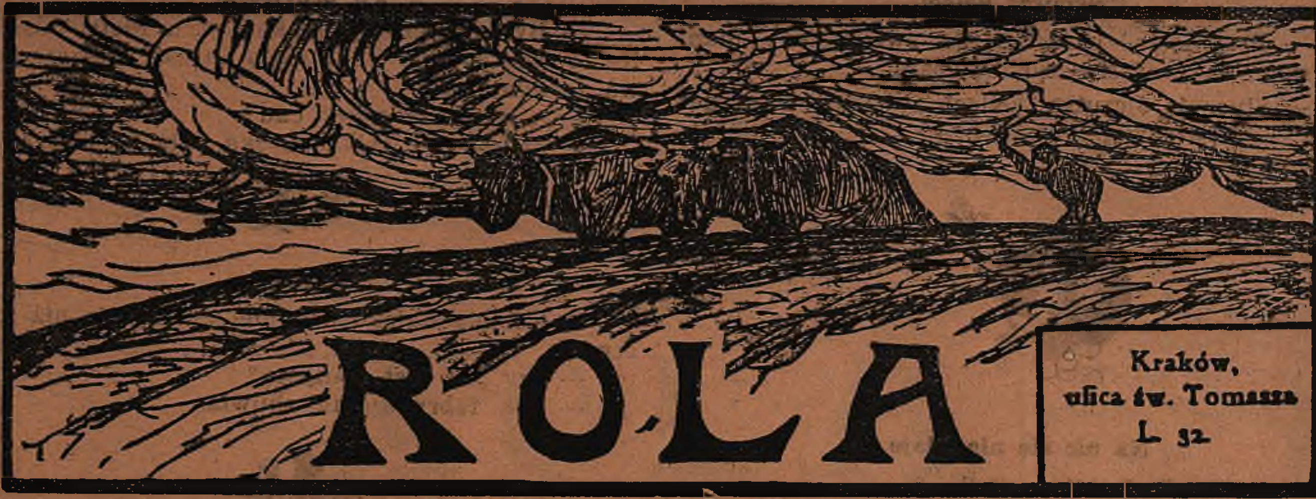
Numer 20. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 18 Maja 1930



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Dzisiejsze dzieci.

— Przyniosłaś bardzo liche świadectwo, mam nadzieję, że przyszłe będzie lepsze.

— Słusznie ojczulku. „Niech żywi nie tracą nadziei“ — powiedział Słowacki.

Na nic się nie zdaje.

Bezbożnicy w Rosji
Ciągle się z tem chwalą,
Że obrazy świętych
Zabrali i palą.

Na nic się nie zdało
Perswadować hordzie,
Chyba, żeby nakłaść
Każdemu po...

Bez obawy.

Chory: Panie doktorze! Czy pan jest pewny co mi jest? Bo mego wujka leczono na zapalenie płuc, a umarł na tyfus.

Lekarz: Niech pan będzie spokojny — moi pacjenci umierają zawsze na to, na co ich leczę.

Po przyjęciu.

— Byłam wczoraj na kolacji u Pietrusińskich. Na 14 osób podano jedną małą kaczkę i jeszcze połowa została.

— A cóżto za nowy cud?

— Żaden cud, tylko kaczka była nieświeża.

Znawca.

— Kobietą daleko dzielniej znosi bóle niż mężczyzna.

— Czy pan jest dentystą?

— Nie, fabrykantem obuwia.

Przesłuchanie.

Sędzia: Czyś pan kiedy przysięgał?

Świadek: Przysięgałem, jakem się kochał.

Sędzia: Jakie środki obrony przynieśliście ze sobą?

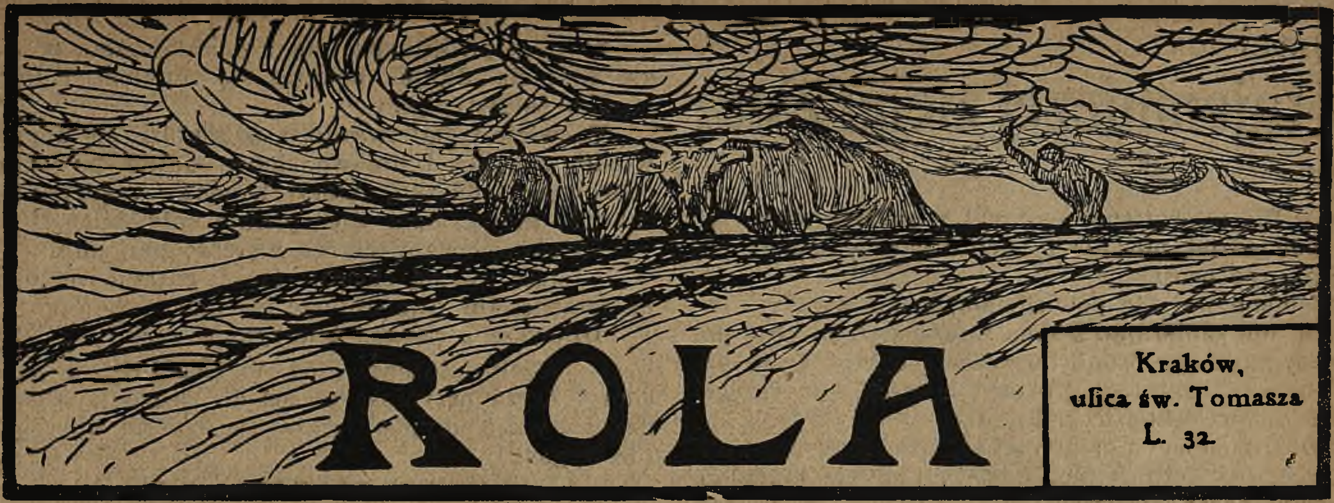
Świadek: Mam tęgie biczysko i kłonicę bukową; myślę, że się tem można obronić.

Wspomnienie pośmiertne.

Posiadał order IV klasy, wygrał los na Loterji III klasy, jeździł koleją II klasy, a był łotrem I klasy.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 20. Rok XIII. Kraków, dnia 18 maja 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto-pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocżt. Urząd Czek 500.868.

WIARA.

Pragnienie zadowolenia, szczęścia jest wrodzone naturze ludzkiej. Różnie jednakże szczęście sobie wyobrażamy. Jeden widzi je w rozkoszach zmysłowych, w bogactwie, sławie, zdrowiu, innego wzrok sięga dalej, a szczęście dla niego, to godne spełnienie swoich obowiązków, kształcenie się ciągłe, wychowanie dzieci i zabezpieczenie im i narodowi świetlanej przyszłości .

Materjalne szczęście trudne, a często niemożliwe jest do osiągnięcia. Tak często daremnie będziemy się starali zatrzymać to dobre, co mija bezpowrotnie, uczujemy swoją niemoc, bezradność wobec głębokich tajemnic życia.

Dopiero Wiara św., dopiero wielki Nauczyciel ludzkości, Chrystus, uczy nas prawdziwie żyć, stawia nas w obliczu jedynej, wiecznej Prawdy, zapewnia nam zadowolenie i spokój w życiu. Mówi On: „Pokój zwiastuję wam, pokój mój daję wam, nie jako dawa świat, ja wam daję. Niech się nie trwoży serce wasze, ani lęka". (Jan XV. 27). Pokojem tym, szczęściem naszem, to nie wolność od trosk życiowych, te bowiem są z naszą naturą złączone, lecz to świadomość, że w walce życiowej, w walce o nasze Ideały nie jesteśmy sami, że wspomaga nas wszechmogący i miłosierny Przyjaciel — Chrystus.

Warto na życie całe zapamiętać sobie przepiękne a otuchy pełne słowa naszego wielkiego powieściopisarza Wł. St. Reymonta:

„Wiara nie odrywa duszy zupełnie i na zawsze od nas samych, ona tylko rozpala duszę miłością wszystkiego i przebaczeniem wszystkiego, rozjaśnia oczy. Kto wierzy w Boga, ten wszystko wie, dlatego niema tajemnic, wątpliwości, szamotań; kto wierzy, jest silnym i na życie i na śmierć; kto wierzy, ten żyje i pracuje, jak robotnicy u dobrego pana, bo wie, że przyjdzie godzina zapłaty za trudy, godzina odpoczynku" (Fermenty II. 151 str.).

Taka wiara żywa i czynna napełnia dusze nasze zadowoleniem, jakie tutaj możliwe jest do osiągnięcia, daje nam moc do walki zwycięskiej ze złem, z szatanem moc, jakiej gorąco pragnął inny nasz wielki powieściopisarz i przyjaciel cierpiących, Stefan Żeromski:

„Gdybyż była w człowieku moc, żeby mógł przycisnąć do piersi ciebie, o miasto! Gdybyż można odkupić wszystek nieszczęśliwy świat... Odkupić z rąk łotrów, z posiadania plugawych tyraniąt, z władzy oszustów, bogaczów, panów, z opieki najgorszych i najpodlejszych biernych widzów, obojętnych, jedzących w spokoju i pijących w weselu. Jakże tu żyć chodząc w sukniach pięknych, co osłaniają ciało aż do ziemi — pomiędzy łachmany żebraków". (Dzieje grzechu str. 2—3).

Wiara i w szlachetnem odczuciu nędzy naszych bliźnich, wskaże nam zawsze i poprowadzi najodpowiedniejszą drogą, drogą miłości, lecz nigdy budzącej tylko wzajemnej nienawiści społecznej.

Do wiary do Boga prowadzi dobre wychowanie, przykład, poznawanie i obcowanie z cudami Bożej Mądrości i Dobroci, wlanie nam istotom skończonem idei, pojęcia o nieskończonym Bogu, co mógł uskutecznić tylko On sam. Przyczyny niewiary są również liczne, jak pycha, złe przykłady, spotykające nas zawody życiowe, często urojone nawet, a może najważniejszą z nich, samo złe życie.

Unikajmy ich więc pilnie, a wierzmy silnie, wiarę stwierdzajmy uczynkami, wówczas pokój, zadowolenie nigdy nas w życiu nie opuszczą, kiedyś zaś będziemy wiecznie wielbić i kochać naszego największego Przyjaciela, Stwórcę i Ojca.

Jan Pelczar.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego

— Pić mi się chce — rzekł w półśnie. Może też nie powiedział nic, ale z ruchu warg dziewczę poznało, o co prosi.

Ismena nic nie powiedziała, tylko wstała i pobiegła, nie zabierając z sobą nawet strzelby. Nie potrzebowała teraz broni, bo zwierzę dzikie, które dotąd było panem tego pustego miejsca, już zginęło i nie mogło szkodzić nikomu.

Długo chory musiał czekać, nim jego opiekunka wróciła. Dłużej tam gdzieś była, niż kiedy go opuściła poraz pierwszy.

Gdy znów wróciła, nie było jej można nawet poznać. Włos jej był rozpuszczony, suknia dokładnie zakrywała ciało aż po kostki, na twarzy rozlała się znów pokora i niewinność, które już dawniej u niej zauważył.

W ręku niosła koszyk, niezręcznie zrobiony z gałązek i roślinnych łodyg; w koszyku znajdowały się czarne winogrona, rosnące w lasach kaukaskich, gdzie nikt ich nie hoduje i nikt nie zbiera.

Uklękła przed Rjuminem, wyjęła z jego torby puhar podróżny, wygniotła weń ręką kilka winogron.

— Tu masz, a pij — rzekła i podała choremu puhar do ust.

Rjumin pił chciwie. Pragnienia nie mógł ugasić! Trunek był słodki, a równocześnie kwaśniawy i smakował mu doskonale.

— Chciałbym jeszcze — rzekł ostro, prawie, że rozkazująco.

Dziewczynę to rozradowało, bo na ustach jej pojawił się rozkoszny uśmiech, pierwszy uśmiech, który Rjumin zauważył.

Wygniotła resztę winogron, aż drewniany puhar przebierał i podała mu napój z niewysłowioną radością.

Teraz już Rjumin pił wolniej, a podczas kiedy dziewczę trzymało u jego ust puhar, patrzał na jej twarz, uśmiechającą się cudnie, niewinną jak u dziecka. W tej chwili zapomniał o swojej chorobie, zapomniał o wszystkiem.

Nie wypił. Pewnie zapomniał pić podczas patrzenia się na twarz dziewczęcia.

Ismena odjęła puhar od jego warg, podniosła go do swych ust i wypiła resztę wina. Rjumin dobrze wszystko to obserwował i także na jego twarzy, dotąd ponurej, pojawił się uśmiech szczęśliwego ukojenia.

— To jest szczególne, jak to dziewczę zmieniło się w tych kilku ostatnich godzinach — pomyślał Rjumin i znowu wygodnie położył się na mchu, którym go Ismena obłożyła.

A patrząc ciągle w twarz uśmiechniętego dziewczęcia, uczuł przyjemne zmęczenie; ulega mu człowiek, jeżli dusza prędzej uśnie, niż ciało.

Spał, a jednak czuwał, bo widział, że Ismena jest znakomitą opiekunką, dobrą towarzyszką, a jeszcze do niedawna uważał ją za dziecko. W półśnie widział Ismenę przed sobą; widział, że przez całą noc podtrzymuje ogień, że go nakrywa, jeżeli odkrył sobie ręce lub nogi. A kiedy mu ręka ziębła, rozgrzewała ją swoim oddechem. Skoro ujrzała, że się przebudził, podała mu do picia słodko-kwaśny sok z czarnych winogron.

W nocy pił kilkakrotnie, a ona zmuszała go ciągle do picia. Skutek pokazał się rankiem. Rjumin poznał, że jest pijany.

O świcie usnął twardo, a przebudził się dopiero wtedy, gdy popołudniowe słońce paliło go mimo ochronnego daszku, który Ismena urządziła dla ochrony głowy. Spał więc prawie cały dzień.

Dziewczę ciągle jeszcze klęczało przy nim.

— Jeść mi się chce — rzekł, patrząc się ostro na Ismenę. Już dwa dni nic nie jadł.

Dziewczę z radości uderzyło w ręce.

— Jeżeli już masz głód, to znak, że nie jesteś chory. Zaraz przyniosę ci coś do zjedzenia. Odchodzę, ale wnet przyjdę. Uważaj tymczasem, aby ogień nie wygasł.

Po tych słowach pobiegła jak łania.

Ku swojej radości zauważył Rjumin, że może poruszać swobodnie rękami, a nawet może wziąć w rękę swoje pistolety.

Próbował rzucić na ogień kilka gałązek, udało mu się to.

— Rzeczywiście nie jestem już chory — rzekł do siebie uspokojony.

Tylko wstać mu się jeszcze nie chciało. Leżało mu się tak wygodnie, że nie chciał ani na chwilę opuszczać swojego przyjemnego łoża.

Podobnie jak wszyscy ci, którzy przebyli ciężką chorobę, myślą tylko o jedzeniu, tak i Rjumin o niem myślał. Starał się odgadnąć, co mu Ismena przyniesie do zjedzenia, a czy wogóle potrafi w takiej pustej okolicy coś znaleźć.

Minęła już prawie godzina, a słońce schylało się ku zachodowi.

Wreszcie posłyszał kroki w gęstwinie, a z wysokiej trawy i z gałęzi wyszła dziewczyna, włosy jej znów były ujęte gałązkami latorośli, a szata jej była znów wysoko podkasana.

Była to zaś owa „druga“ dziewczyna, posiadająca energiczny, prawie że zagniewany wyraz twarzy. W jednej ręce trzymała potężną gałąź, którą odpędzała sześć albo siedm wielkich bażantów, gwałtownie ją atakujących i latających nad jej głową, w drugiej trzymała kraj szaty, w niej coś niosła.

Wielkie ptaki atakowały ją zajadle, uderzały ją swemi dziobami, nie mogła się im nawet obronić.

— Strzelaj — zawołała do Rjumina, usiadł bowiem na swem łożu, patrząc się na to ciekawe zjawisko. Wyjął pistolet, wycelował, strzelił, a jeden z ptaków spadł na ziemię. Inne odleciały w las.

Dziewczyna wzięła zastrzelonego ptaka i zwycięsko zakręciła nim ponad głową. Potem przyspieszyła kroku i koło samego ognia położyła na ziemi zdobycz, którą przyniosła.

Było to dziesięć jaj bażancich.

— Popatrz, będą ci doskonale smakowały.

Rjumin uśmiechnął się zadowolony, w duchu podziwiał dziewczynę. Umiała sobie zawsze poradzić i wszystko umiała tak łatwo urządzić.

Kilka jajek włożyła do gorącego popiołu, a potem podała je Rjuminowi. Nigdy jeszcze były książę i rosyjski pułkownik nie jadł nic tak smacznego, jakiemi w tej chwili były owe bażancie jajka. Ani nawet na ucztach dworskich w zimowym pałacu carskim nie delektował się tak potrawami.

— Nim zjesz te jajka, będziesz zupełnie zdrów — powiedziało dziewczę, uśmiechając się przyjemnie.

— Zdrów dzięki tobie — wyszeptał młody człowiek.

Więcej w tej chwili nie potrafił wypowiedzieć. Syty żołądek nie pozwalał mu na dalsze wynurzenia swej wdzięczności.

Dopiero po chwili milczenia znów powiedział:

— Ismeno, bądź moją siostrą.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy, potem podniosła wzrok ku niebiosom i prędzej, nim się Rjumin spostrzegł, złożyła na jego ustach gorący pocałunek.

Rjumin aż drgnął z rozkoszy. Byłby to cudne dziewczę porwał w swoje ramiona, ale nie śmiał. Przecież mogła tylko być jego siostrą.

Przekonanie, że szczęśliwie wyleczył się z choroby, której byłby uległ, gdyby nie ta dziewczyna i świadomość, że ten anioł-dziewczę z nim pozostanie, że z nim chce dzielić losy dalszej wyprawy, dodawały mu spokoju, co znacznie przyczyniło się do prędkiego wyzdrowienia z tej ciężkiej choroby.

O umarłym Osjetyńcu, swoim dawnym przewodniku w tej chwili zupełnie zapomniał, chociaż jego świeży grób znajdował się w bezpośredniej bliskości. Teraz już nawet nie potrzebował tego przyjaciela, bo zyskał za niego drugiego nieocenionego.

Znów usnął twardo, a we śnie widział cały szereg pięknych obrazów, które zdawały się być tak prawdziwemi, jakgdyby nie były snem, ale rzeczywistością.

Rjumin spał przez kilka godzin, a gdy się obudził, słońce zaszło, a na okolicę kładły się wieczorne cienie.

U jego łoża ze mchu siedziała Ismena, czekając z założonemi rękami, skoro się jej pan przebudzi. Chwilami schylała się nad nim i wsłuchiwała się w jego oddech.

Właśnie w tej chwili, kiedy Rjumin otworzył oczy, nachylała się nad nim i spokojnie śledziła jego oddech, który wskazywał, że choroba już minęła. W tym momencie spotkały się ich oczy i wpatrywały się w siebie długo...

Rjumin znajdował się jeszcze pod wrażeniem swych snów.

— Ismeno — rzekł do dziewczęcia — bądź moją boską opiekunką i obietniczką.

Dziewczę uklękło przy nim.

— Nachyl się do mnie, abym ci mógł wszystko opowiedzieć, co dręczy moją duszę — mówił Rjumin.

Dziewczę usłuchało go.

A teraz opowiadał jej o wszystkiem, co skłoniło go do tej awanturniczej wyprawy, zwierzał jej się z tem, co się wyprawy tej tyczyło. Wyznał jej wszystko tak prawdziwie, jakgdyby spowiadał się przed księdzem. Dowiedziała się więc wszystkich szczegółów o swoim nowym panu: dowiedziała się, kim jest, czem był i dlaczego znalazł się w tej okolicy, gdzie to już tyle musiał wycierpieć.

— A teraz leżę wśród ruin starego grodu i nie wiem, w jaki sposób dostanę się dalej — szeptał Rjumin trochę zasmucony. — Padłem tutaj i nie mam jeszcze tyle sił, by powstać. Gdybym miał umrzeć mimo twej ofiarnej opieki, nie baw tu dłużej ani chwilki, nie rób dla mnie grobu, bo ptactwo zrobi już porządek z moim trupem, ale idź jak najszybciej do Suczuk-Kaleh.

— Dlaczego mi to mówisz — przerwało mu dziewczę — przecież już jesteś zdrowy i nie umrzesz?

— Ale już zgóry muszę zabezpieczyć się na każdy wypadek — odrzekł Rjumin. — Mój koń jest gotów, a kierunek drogi wskaże ci rzeka Szemesz, wzdłuż niej dostaniesz się wprost ku „drodze dziewcząt", którą pewnie znasz z imienia. Tak dostaniesz się do Suczuk-Kaleh; tu wyszukasz komendanta, generała Weljaminowa, ukażesz mu ten order, który ci oto daję. Ten order powie mu, że przychodzisz odemnie i że ja już nie żyję...

— Ależ dla Boga, przecież już nie umrzesz — przerwała mu znów Ismena, a sposób, w jaki owe słowa wypowiedziała, zdradzał, jak sama myśl o jego śmierci dotyka ją nieprzyjemnie i boleśnie.

— Posłuchaj jednak do końca, mój ty gołąbku — powiedział serdecznie i tak dalej mówił; — Generałowi opowiesz szczegóły naszego poznania się, jak to o mnie się troszczyłaś, jak się mną opiekowałaś, gdym zachorował i jak wreszcie odeszłaś od mojego trupa. Powiesz mu, że umarłem jako żołnierz, który wypełniał swoje obowiązki. Myślę, że to, co zrobiłem dotąd, wystarczy na początek. Teraz niech kto inny prowadzi dzieło dalej, ja je zapoczątkowałem. Zabierz też z sobą mój zegarek, znajdziesz w nim fotografję mężczyzny, kobiety i dziecka. Wiesz już, kto to jest. Są to moi rodzice i moja siostra. Powiedz generałowi, jako przez posłuszeństwo i śmierć zdobyłem ułaskawienie dla rodziców.

Ismenę rozczuliły te słowa do łez.

— Wszystko zrobię dla ciebie, chętnie ofiaruję się za ciebie, twoich rodziców, twoją siostrę, tylko nie mów o tak strasznej rzeczy, jaką jest śmierć — mówiła, ocierając z łez swoje cudne oczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BOLESŁAW DEJWOREK.

Maciek i ludzie.

Nowela.

(Dokończenie)

— Może?

— No, patrzcież.

— I zuch chłop. Nie znacie, co to za jeden?

— Ino go cosik gryzie, bo jest taki zafrasowany, niewesoły.

— Juści, jakieś ma zmartwienie.

— Wiem, taki toby mógł być wójtem.

— Świętą prawdę rzekliście, żeby mógł być. A skądże on jest?

Poczęli się trącać łokciami i pytać, wskazując Maćka. Aż tu któryś mówi:

— Pietrek, patrzno, dyć to chеba ten, co nas wczoraj godził.

— A jużci, jako żywo, chodźmy do niego.

— Cóż to za jeden, znacie go? — poczęto się wokół dopytywać.

Opowiedział ciekawym Pietrek wczorajszą historję, nadziwić się nie mogący mądrości i sile obcego.

— Hm, ciewy, ciewy, byłby z niego wójt, jakiego ze świecą poszukać. Takiego nam trzeba, coby i pogodzić zwaśnionych umiał, i biedniejszemu, i kazdemu pomocy potrzebującemu dospomóc, a kaj siełą, coby się i siełą umiał postawić.

I — dalej wszyscy Maćka okrzykiwać wójtem.

— Niech zyje wójt, wiwant, niech zyje, niech zyje!

Zdziwił się Maciek niepomiernie, jak przez sen patrzył na świat boży od rana, i na to co się koło niego działo tak patrzył, jakby mu się ino śniło. I doprawdy nie mógł się nijakim sposobem doznać, jawa to była, czy sen.

— Ba, — rzeknie bez namysłu — cóż słyszę? Nieznanego przybłędę, włóczykija bez niczego wój-

tem obwołujecie? Przeciem nie z waszej gminy, jakże urząd wybór taki zatwierdzi?

Stropili się chłopi, nie wiedząc, co i jak radzić... Ktoś przemówił:

— Przecie gospodarzem jesteście i gospodarski syn.

— No juści, odpowiada Maciek, — gospodarski jestem z dziada pradziada, i chociem jest kawaler, jeszcze nie żonaty, już dziesięć lat sam u siebie na roli rządzę, co mi po nieboszczyku ojcu ostała.

— Hm, majątek ma, może ręczyć, widać to, ino że nie tutejszy.

Wtem inny się wyrwał z tłumu:

— Powiadacie coście jeszcze kawaler, nie żonaty?

— Juści, — gwarzy Maciek — ale mi już czas i pora. Radbym się i ożenić. Chrystusowe lata nadchodzą...

Coś jeszcze chciał mówić, lecz w ten moment chłopi się porozumieli w mig, i krzyczeć poczęli wesoło, aż się na całą wieś rozlegało:

— Ożenić wójta, ożenić w naszej wsi, to będzie nasz prawdziwy gminiak.

Porwali Maćka na ramiona, i dalej go huśtać, a podrzucać, a jemu nieborakowi się zdawało, że to wszystko to mu się śni ino. I to że poszedł z chałupy, i te wszystkie przygody po drodze, i ta śliczna Kasia, i to kochanie, i to wójtostwo, że to wszystko sen, ino że taki smyśny, taki cudowny sen, że mu się obudzić nie chciało. Sięgnął więc po pieniądze i zaprasza chłopów wesoło.



— Kiej tak, to pójdźmyz napić się cego, bo gorąc.

Wziąwszy go w środek pod ręce, poszli chłopi radzi, skwapliwie, że się i niemało naznudzili onem sejmowaniem, obsiedli długi stół w kółkowym sklepie i dalej ciągnąć wójtowskie piwo a gwarzyć rozgłośnie i radośnie.

Wreszcie, kiej się już dobrze napili, któryś ze starszych powiada:

— Chłopy! kieście wójta wybrali, radźcież teraz, kajby go tu ożenić — hm?

Posypały się rady, aż sprzeczki powstawały z tego a Maciek słuchał, stawiał piwo, pił, ściskał się na prawo i lewo, i — jeno pragnął, coby się jeszcze nie budzić.

Nakoniec się zgodzili, coby pójść do Osęczyny. Dzieucha zdatna, choć ta pono po zrękowinach, ale to nic.

Dał Maciek robić ze sobą, co chciano, flaszkę wódki wziął, karmelków kieszeń, — i z dwoma swatami poszli.

Naraz, zdało się Maćkowi, że mu się cosi w sercu, jakiś bezgłośny krzyk, jakieś wołanie przeogromne rodzi. Że ktoś wokół niego, czy w nim, woła jego imię, ktoś jak Baśka Cyprynowa, czy ktoś jak ona Kasia? Z ciemności, bo wieczór już zapadł, wyłoniły się przed nim cudowne, przedziwnie patrzące, gorące, czarne oczy, jak te Kasine, kiej patrzyła na niego, prosząc, by został, lub wtenczas przy rozstaniu u furtki...

I rozkosz mu dziką i słodką sprawiało słuchanie tego krzyku i patrzenie w te oczy i strach jednocześnie — i boleść mroziły krew w żyłach. Czuł, że pokochał Kasię bezmiernie, nadewszystko, czuł, że mur nieprzebyty pomiędzy nim a nią stoi jeden, i że teraz oto drugim takim murem, jeszcze potężniejszym własnemi rękoma wznoszonym się od niej dzieli... na zawsze...

Niechże-ta, niechże, myślał, żeby się ino nie zbudzić. Przecie to sen — przecie ja jestem głupi i nic więcej... Przecie to do niczego nie podobne, co się ze mną dzieje. Nic ino zwyczajna głupota.

Znagła chwyciła go jakaś myśl, jak mocna garść ucapi za gardziel, żeby ot — frygnąć wszyćko w djabły, i lecieć w pola, co stały przed nim otworem, tarzać się w trawach, nurzać w zbożach, żeby omieść duszę z tego kurzu, z tej dziwnej pleśni oczyścić. Zachciało mu się krzyczeć na cały świat, że nie chce być wójtem, że nie chce nigdzie, z nikim iść na żadne zaloty. Zachciało mu się biec, szukać, wołać, pytać o Kasię. Uciec do niej. Ale pocóż do niej? Do swojej zbiec chałupy, zaprzeć, podeprzeć kołkiem drzwi — obudzić się nawet! Zgłupieć do reszty, ale nie iść na zaloty, byle się nie żenić, byle być w ten sposób bliżej Kasi.

Nie wiedzieć kiej, znalazł się w jakiejś izbie. Obcy go przyjmowali ludzie. Opamiętał się, że przecie jest na zalotach. Przetarł dłonią czoło. Patrzył na kobietę, co siadać zapraszała, i zdało mu się, że ją gdzieś, skądś zna... Ino se nie mógł przypomnieć. Ino nie mógł zebrać myśli... I tę małą dziewczynkę. I tę izbę czyściutką i schludną. Coś — gdzie!... Cekojcie... Tyle w tym dniu przyszło na niego, tyle dziś przeżył.

Naraz, jak gdy kto rozewrze nagle szczelne okiennice od ciemnej izby na słoneczny świat, i izba stanie w potokach blasków i promieni, roześwietli się cała, tak się w Maćkowej głowie wszystko rozjaśniło, przypomniało, kiedy do izby weszła — Kasia. Toć to ten dom, ta izba, ci ludzie.

Radość ogromna, niewypowiedziana owładnęła Maćkiem. Wraz poczuł ciężar na sercu, co w niepewności biło młotem, o wszystkiem stanowiące pytanie: Czy zechce?

Swaty opowiadali dyplomatycznie koło wokoło o urodzajach, koniczynie, wyborach na wójta.

Maciek czekał, jak ogłoszenia wyroku tej chwili, kiedy przystąpią do rzeczy — i spytają.

Aż spytali...

Nie wiedziała, co chcą matka, choć się wcześniej domyśliła, poco przyszli. Maciek jej się podobał, juści, człek dobry i wójt, ale bo to z tamtym idą zapowiedzi... czy ja wiem?

Podniósł Maciek na Kasię oczy, za któremi czaiła się noc, oczy pytające, a rozkochane...

Ona pożrała na niego krótko — a potem zamknęła powieki na chwilę, jakby dawała znak — i przez rozwarte drzwi wyszła zwolna do sieni.

I on wstał i wyszedł, pojmując ten niemy znak.

Radość bezmierna, wesele nieogarnione rozpierało mu piersi. Szczęście prawdziwe!...

— — — — — — — — — — — — —

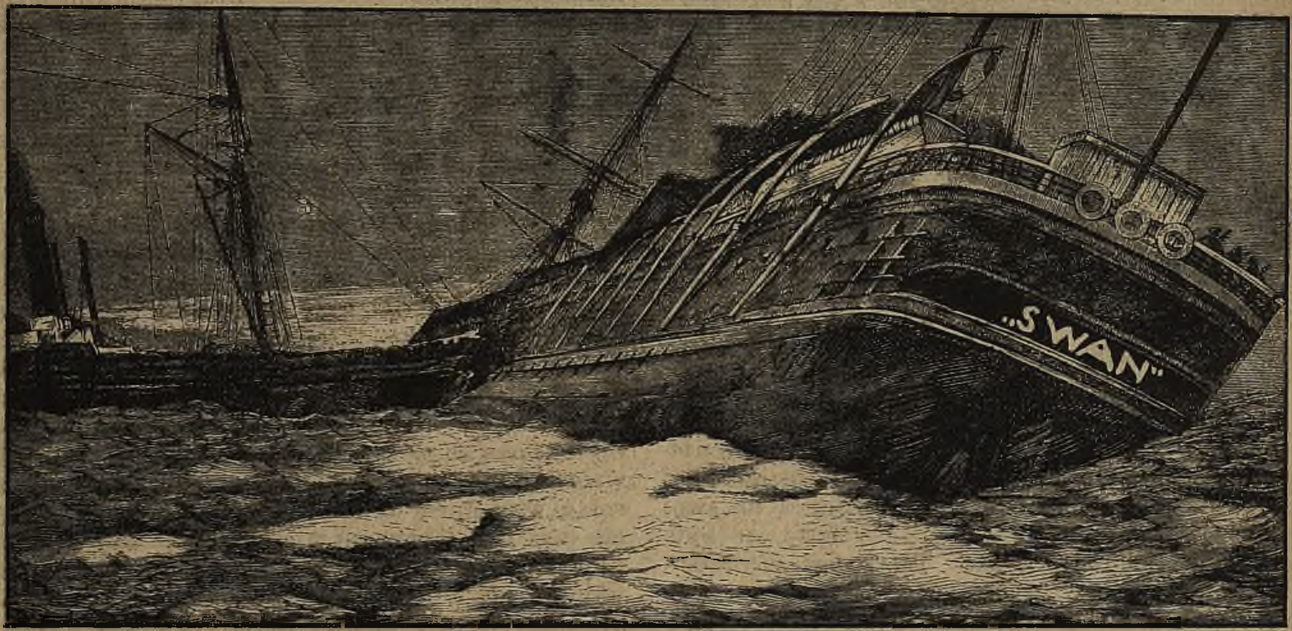
Aż kiedy sobie wszystko wzajem, o onem kochaniu piersi młodzieńcze rozpierającym jak mogli, jak ta umieli, opowiedzieli, przyszło Maćkowi na myśl, że ona, przyszła jego żona, powinna wszystko wiedzieć, że pomiędzy nim a nią powinno być wszystko proste i jasne. Więc jej powiedział o tem, że go we wsi głupim nazywają.

Zaś Kasia pomyśliła chwilę nad tem, co jej rzekł i tak mu odpowiedziała:

— Hej, bo widzisz, są ludzie niektórzy, co im się zdaje, że jak kto nie jest akurat taki jak oni — to już jest głupi. Ale im się to ino zdaje!...

Koniec.

STRASZNA KATASTROFA OKRĘTOWA.



W pobliżu miejscowości St. Helena na rzece Columbia w Stanach Zjednoczonych wydarzyła się onegdaj straszna katastrofa okrętowa. Parowiec przybrzeżny „Davenport" najechał na okręt wycieczkowy „Svan", na którym znajdowały się dwie wielkie hale do tańców. Dziób parowca „Davenport" wbił się w ścianę boczną okrętu „Swań" i przeciął go na dwie części, wdzierając się przytem w halę do tańca — w której znajdowała się właśnie większa ilość tańczących. Cztery osoby zginęły, dwanaście osób odniosło ciężkie rany. Kilkanaście osób zaginęło. Ponieważ okręt „Svan" wjechał na ławicę piaszczystą, udało się uratować 286 pasażerów, znajdujących się na okręcie. Parowiec, który ciągnął okręt „Svan" na linie, oderwał się w czasie zderzenia i zatonął.

Prawo bez siły jest bez znaczenia.

Jagnię i wilki.

Zawżdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie: dwa wilki jedno w lesie nadybały jagnię. Już je miały rozerwać, — rzekło: „Jakiem prawem?" — „Smaczneś, słabeś i w lesie". — Zjadły je niebawem.

Prosta to bajka Ignacego Krasickiego, ale jak i inne bajki tego poety, tak i ta kryje w sobie myśl głęboką. Możemy z niej wysnuć ten wniosek, że każde prawo musi być poparte siłą. Ta biedna owca, która pasła się spokojnie na leśnej murawie miała przecież prawo do życia, ale, że nie mogła go poprzeć siłą, stała się łupem zgłodniałej czeredy. Śledząc życie i rozwój państw, możemy śmiało powiedzieć, że szczególnie tu potrzeba siły do poparcia wszelkich praw. Historja daje nam wiele takich przykładów, gdzie państwo, umiejące wszystkie swe prawa poprzeć siłą, wzbija się w potęgę, a przedewszystkiem zachowuje swą niepodległość.

Już starożytni Rzymianie wiedzieli, że naród, nie mający siły, staje się łupem nieprzyjaciela. Rzymianie przekonali się o tem bardzo dobrze na sobie samych. Wzbili się szybko w pierwszorzędną potęgę, imię ich rozbrzmiewało po wszystkich krańcach świata cywilizowanego, a to głównie z tej przyczyny, że mieli liczne, dobrze zorganizowane wojsko. Ale kiedy Rzymianie zaczęli prowadzić życie rozpustne, kiedy nie troszczyli się wiele o utrzymanie tak potrzebnej w tych warunkach armji, zaczęło powoli upadać ich świetne państwo. Przez odsłonione granice północne wdarła się fala germańska i zalała wkrótce cały kraj i dziś widnieje na mapie Europy stosunkowo nieduże państwo, obejmujące półwysep Apeniński, Italję, którą zamieszkują potomkowie dawnych Rzymian, Włosi.

Lecz poco sięgać myślą w tak daleką przeszłość? My, Polacy, dobrze wiemy, że prawo bez siły jest bez znaczenia. Polacy własnym trudem i własnemi siłami stworzyli sobie państwo, własnym wysiłkiem złączyli kilka plemion pod jednem berłem — więc mieli prawo istnieć i rozwijać potęgę swego państwa, a jednak, kiedy brakło siły do poparcia tego prawa, cóż się stało? „Mili sąsiedzi" targnęli się na drogą każdemu Polakowi niepodległość i zwyciężyli. Polska upadła. Zerwały się jeszcze siły powstań-

ców, którzy dobyli broni przeciwko swoim ciemięzcom i otwarcie pokazali światu, że Polacy upominają się o swoje prawa i pragną żyć w swojem niepodległem państwie. Tysiące z nich zginęło na polu bitwy, inni znosili ogromne katusze w lodowatych więzieniach Sybiru, ale i ci wygnańcy nie tracili ze serc tej nadziei, że „Ta, co nie zginęła", wyrwie się przemocą z pod jarzma wroga i imię Jej zasłynie znowu w Europie. A byli oni duchem proroczym natchnieni, bo rzeczywiście tak się stało. Myśl tych nieszczęśliwych zesłańców leciała tam, czego ich oczy nie mogły oglądać — do Ojczyzny. Bo tu Polacy trwali twardo w swym świętym zapale. Ostatkiem swych sił nękali ciągle wroga i nareszcie po tylu latach trudu — Polska powstała. Granice Jej oparły się na prochach tych bohaterów-powstańców, którzy nieśli swe życie w dani i bronili Jej praw i dziś sięgają ziemie polskie od niebotycznych gór Karpat aż po sine fale Bałtyku.

My, Polacy, którzy żyjemy teraz w niepodległej Ojczyźnie, wspomnijmy na tych partjotów-Polaków, których mogiły na obcej ziemi leżą. Nie doczekali się oni tego szczęścia, jaką była dla nich niepodległość Ojczyzny, o której za życia tak marzyli — ale niechże przynajmniej pamięć o tych patrjotach pomiędzy nami nie zaginie! *Franciszek Gabzdyl.*



Powiadają ludzie, że u nas bida, co jaze piscy i ze gdzieindziej lepiej, a lepiej. Że jest bida, to się wie, ale żeby gdzieindziej było lepiej, to przecie nieprawda. A jak już komu widzi się, że gdzieindziej lepiej, to niechże wlizie tam gdzieindziej, a na swój kraj nie wygaduje. Mądrzy ludzie wiedzą, że bida to taka międzynarodowa pani, która jest nie ino u nas, ale i u Miemców, i u Frajcuzów, a nawet u tych najbogatsych Hamerykanów. Ona, jak ten oset, gdy raz gdzie korzenie zapuści, to jej trudno wyplewić.

Bida jest, bida była od stworzenia świata i bedzie do jego samego końca. Kto chce, zeby się bida skońcyła, ten bez to samo chce, żeby sie jak najprędzej świat skończył. Możeby to było i dobrze, ale to juz nie nasa wola w tem, ale Pana Jezusa.

Narzekają na te bide ci, co ją naprawdę mają za pazuchą, ale narzekają i tacy, którzy nie wiedzą, jak ona naprawdę wygląda, choć takich jest mało. A posłuchajmy tych narzekań! Oto miescuch narzeka na bide i powiada, że bidzie tej chłopi są winni, bo i jakze? Uzarabias — powiadają — ile tyle bez cały tydzień i pójdzies z tem na targ, to ledwie za te parę złotych kupis osełeckę masła, parę jajków tak, że ci juz na chlebuś nie wystarcy. I juz jest tak, że coś bez cały tydzień zarobił, to śmiało za jeden dzień mógłbyś z dzieckami spapać. Powiadają więc miescuchy, że bidzie winni chłopy.

A zasie chłop powiada, że bidzie winni ludzie miastowi, a więc rzemieślniki wszelakiego rodzaju, robotniki i inkse urzędniki. Robis i robis — powiadają— bez rok cały, ze omało se pazurów nie urobis, niby ci to Poniezus scęści i w jesieni umłócis kielo tylo zytka czy pszenicy. Ale, jak to, co ci od zjedzenia ostanie, powiezies do miasta i sprzedas, to za te piniądze nawet gaci trudno kupić.

Mnie się widzi, że jedni i drudzy mają słusność. Ma słusność chłop, który za swą krwawą pracę nawet uściwie przyodziać się nie może, ma słusność robotnik i rzemieślnik, że za swą mordęgę, nima cem kichów napchać. W tem mają słusność, ale nie mają jej gdy powiadają, ze chłop bidzie winien, albo że miescuch ją skądsiś na ziemię sprowadza. Ani jeden ani drugi jej nie winien, bo jakby jej który był winien, toby jej sam la siebie nie trzymał, ale ją odzenął od siebie i aniby jej na oko widzieć nie chciał.

No, ale ze bida jest, więc ją musi ktoś stwarzać i ktoś utrzymywać, bo inacejby scezła i juzby jej nie było. Mnie sie widzi, że wszyćke te bide na świecie robią pośredniki różnego rodzaju, którzy własne kieszenie napychają, a z inksych ludzi nic se nie robią. Weźmy na to: robi taki rzemieślnik, cy robotnik bez dzień cały i za swoją robotę dostanie parę złotych. Ale on sam tej swojej roboty nie moze spieniężyć, ale oddaje ją więksemu przedsiębiorcy. Ten przy biurku rachuje: Robota Kaspra kosztuje mnie 8 złotych, robota Filipa 10 złotych, a robota Ignaca 7 złotych, czyli razem 25 złotych, więc za tę ich robotę trzebaby wziąć 50 złotych. A ze i ja potrzebuję coś niecoś zarobić, więc musę to sprzedać za 100 złotych. Ale przecie taki pan fabrykant nie sprzedaje sam, ale odstępuje swoje towary jakiemuś pośrednikowi, a ten za wydane 100 złotych chciałby wziąć conajmniej drugie tylo, więc ty chłopie zapłać, albo orz ziemie pazurami, a żnij żyto kozikiem, choć i za niego trza zapłacić kilka razy tyle, co warta.

A chłop znowu, jak zapłaci za buty, cy za uprząż la konia, cy za inną potrzebę do gospodarstwa całą chmurę piniędzy, to znowu chce se to odebrać cy to za żytko, cy za jajka, cy za inne delikatności, a choć nigdy tyle nie odbierze, co wydać musi, to to jego odbiranie odbije sie tak na drobnem rzemieślniku, jak i na robotniku. I bez to ta bidusia tak dusi i chłopa i rzemieślnika i robotnika, a jedynie śmieją sie z niej rozmaite pasibrzuchy-fabrykanty i ci wszyscy pośrednicy, co z pracy chłopa i robotnika żyją.



W maju.

Na posłaniu z mgieł zrobionem,
Brylantami gwiazd zdobionem,
Z barwnych tęczy i kolorów
Hen! nad pasmem ciemnych borów

Anioł wiosny kwietną dłonią,
Porozpraszał cudne wonie
Ponad laskiem brzezinowym,
Nad kościołem hen wioskowym.

Dzwony, dzwony, dzwony dzwonią,
Nad zieloną kwietną błonią
Kwiatem pachną wonne drzewa,
Dziękczynienia pieśń rozbrzmiewa.

I modlitwa płynie śpiewna,
Z serc prostaczych mocno rzewna;
Lud wysławia swą Maryję,
Do stóp świętych czołem bije.

Płynie pieśń skąpana rosą
Anielskie ją skrzydła niosą,
Z dźwiękiem dzwonów rozmodlonych,
Do niebiańskich wrót świetlanych.

Aleksander Kuśmicki.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Egipt I.

O 10 kilometrów od Kairu, jednego z największych miast Egiptu, znajduje się wioska Mataryeh. Jest to jedna z najludniejszych wsi w tych okolicach. Przebywszy urodzajne pola bawełny, koniczyny i t. p. wchodzi się w dolinę niską, prawie zawsze wodą zalaną, nad brzegiem której stoją domy, jak zazwyczaj wszędzie w Egipcie, z iłu nilowego stawiane. Jest jednak kilka porządniejszych, nawet piętrowych domów i meczet nowy, postawiony przez wicekróla egipskiego.



Drzewo Najświętszej Marji Panny w Mataryeh.

Droga do wsi prowadzi przez laski cytrynowe, a na prawo zbacza do ogrodu, zwanego dotąd ogrodem Najświętszej Panny, albo ogrodem balsamicznym.

Według bardzo dawnego podania Przenajświętsza Rodzina mieszkała w tych stronach, tu na modlitwę Najświętszej Marji Panny trysnęło źródło, aby ugasić pragnienie podróżnych, a równocześnie użyźniło ziemię nieurodzajną. Koło niego zaczął wyrastać krzak balsamowy, którym się dawniej pyszniła Judea i który obecnie tam ginie. Krzewy balsamowe i w tym ogrodzie już wyginęły, ale ogród dotychczas nazwę „balsamicznego" zachował.

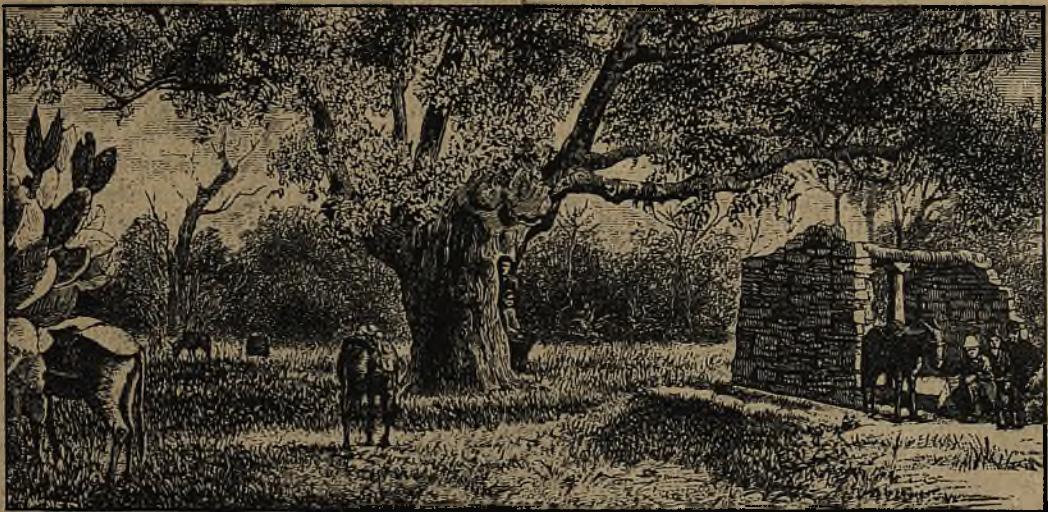
Obecnie ogród ten podzielony jest na kwatery i ulice, część zasadzona drzewami cytrynowemi. W miejscu, gdzie przez długie lata znajdował się podobno kawałek muru i okienko z mieszkania Panny Marji, chrześcijanie wystawili kościół, w którym z wielką uroczystością obchodzili pamiątkę przybycia tam św. Rodziny w dniu 31 maja. Obecnie i z tego kościoła pozostały tylko ruiny.

O kilkanaście kroków od wejścia do ogrodu w stronie północnej jest studnia, przy której żóraw wyciąga wodę w glinianych naczyniach. Studnia ta nigdy nie wysycha, chociaż wszystkie inne studnie egipskie wysychają i posiada bardzo niską temperaturę. Widocznie nie pochodzi ona z wody nilowej, ale jest prawdziwem źródłem, może jedynem w całym Egipcie.

Jest to studnia Najświętszej Marji Panny i zawiera cudowną wodę, posiadającą moc uzdrawiającą.

W ogrodzie tym znajduje się również drzewo Najświętszej Marji Panny. Podanie powiada, że gdy Najświętsza Marja Panna z Dzieciątkiem i Józefem św., przechodziła koło Heliopolis, bałwany pogańskie same się poprzewracały. Lud rozgniewany gonił niewiadomych sprawców tego wypadku. Św. Rodzina nie miała gdzie się schronić przed tłuszczą, gdy wtem drzewo sykomory się rozwarło i bezpiecznie przechowało uciekających, póki nie przeszli ci, którzy jej szukali.

Czy tak było, trudno powiedzieć, dość, że drzewo to po dziś dzień stoi i najdawniejsi pielgrzymi o tym cudzie wspominają. Drzewo to jest to figa prosta, gruba i ogromna. Jest ona od szczytu do korzeni rozdarte tak dziwnie, że gdyby się zejść mogło, to obydwa boki jak najlepiejby do siebie przystały, bo gdzie z jednej strony jest wypukłość, tam na przeciwnej stronie znajduje się miejsce wklęsłe. U dołu samego drzewa jest we wnętrzu pnia jakoby mały pokoik. Za przyjściem Najświętszej Dziewicy do tego drzewa, drzewo to, jak twierdzi podanie, nagle się rozskoczyło i tam dopóty mieszkała Marja, dopóki św. Józef nie znalazł we wsi domu. Wewnątrz tego pnia Turcy utrzymują lampę, mają bowiem to miejsce w wielkiem poszanowaniu.



Drzewo św. Józefa.

W 1656 roku odpadła część drzewa, obecnie wydaje ono się jakby na dwoje rozdarte, mimo to ma siedm metrów obwodu i silne gałęzie wypuszcza. Rząd egipski kazał je otoczyć barjerą, chcąc je uchronić od łupiestw ciekawych i pobożnych.

Gdy w roku 1869 cesarzowa francuska przybyła do Egiptu, sam wi-

cekról oprowadzał ją po ogrodzie balsamicznym i drzewo Najświętszej Marji Panny jej darował. Przypuszczał, że żonie władcy chrześcijańskiego narodu największą tem przyjemność zrobi. Ale ta dumna pani, która nawet w czasie pobytu swego w Egipcie wstydziła się przyznać, że jest chrześcijanką, dar ten przyjęła obojętnie. I jakże miała uczynić inaczej, kiedy, zwiedzając bazary, starożytne świątynie egipskie, meczety, nigdy nie przestąpiła nogą progu kościoła katolickiego. Wkrótce też Bóg jej pychę i wstydzenie się religji katolickiej ukarał, gdyż dumna cesarzowa za dziesięć miesięcy później była już wygnanką.

O jakie dwieście kroków dalej znajduje się inne drzewo, podobne nieco do poprzedniego, które nosi nazwę drzewa św. Józefa. Pień jego wypróchniały może pomieścić cztery do pięciu osób, a obwodu ma przeszło siedm metrów. Drzewo to widzimy na naszym drugim obrazku, a w pniu jego dwie osoby, wyglądające jakby z jakiej kapliczki. Obok osiołek, wolno puszczony skubie sobie swobodnie trawę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

— A ta pani czy panna, coś ją widział niedawno?

— Tej nie widziałem dzisiaj, ale zato spotkałem się z samym nieboszczykiem.

— Z samym nieboszczykiem? — zapytał Juljusz.

— Z nim, z nim, jasny panie. Kiedy zakradałem się pod dwór, widziałem, jak na koniu pędził przez pole na przełaj ku dworowi, a potem zaraz zajaśniało światło w narożnych oknach lewego skrzydła.

— A gdzież był ów maziarz?

— Przed świtem jeszcze wyjechał z zagrody Kostia Bulija.

Juljusz zamyślił się głęboko, a potem bystro wpatrzył się w oczy byłego żołnierza.

— Czy tylko ty nie łżesz, łotrze? — zapytał surowo.

— Ani na włosek, jasny panie.

Juljusz znowu zadumał się na chwilę.

— Kazałem ci dzisiaj przyjść do siebie, bo nie mogłem zrozumieć, czego wczoraj chciałeś odemnie.

— Prosiłem o mój recht przeciw Kostiowi Bulijowi, bo ja mu nie daruję — mruczał przez zaciśnięte zęby.

— Słuchaj-no — odezwał się Juljusz, jakby jakąś szczęśliwą uderzony myślą. — Wynagrodzę ci wszystko.

— Jakto, jasny panie?...

— Nie miałeś nigdy własnego gruntu, siedziałeś zawsze na komornem, ja cię osadzę na gruncie i dam zapomogę; wyjdziesz na gospodarza.

— A z Kostiem co będzie?... — zapytał Ołańczuk z niezmiennym wyrazem nienawiści.

Juljusz rzucił się gwałtownie.

— Chodzi tu o ciebie, nie o Kostia!

Mykita Ołańczuk z szczególnym wyrazem uporu wstrząsł głową.

— Nie daruję mojej krzywdy Kostiowi — rzekł niezachwiany — a kiedy teraz wiem, że on w spółce z maziarzem okrada dwór, to nie spocznę, aż oddam go do kryminału.

— Kryminałowi nic do tego! — zawołał Juljusz, niecierpliwiąc się coraz więcej.

— Jeśli jasny pan się w to nie wda, to ja sam skargę na Kostia zaniosę do kryminału.

Juljuszowi nagła myśl niepokojąca przemknęła przez głowę. Przypomniał sobie niedawno doniesienie mandatarjusza i poznał, że w takim składzie rzeczy tajemnicy zaklętego dworu, a tem samem i tajemnicy Eugenji podwójne naraz zagrozić mogło niebezpieczeństwo.

Juljusz jakieś prędkie powziął postanowienie.

— Pójdź do dominium i złóż do protokółu swoje zeznanie — rzekł naraz zmienionym widocznie tonem — sędzia to już pośle sam do kryminału. A jeśli chcesz pracować i pilnie odrabiać pańszczyznę, to cię osadzę na pustce w którymś folwarku. Tymczasem — dodał, rzucając mu mały pieniądz srebrny — idź i napij się wódki!

Po tych słowach spiął konia i raźnie pognał naprzód.

— Nie pozostaje nic innego do zrobienia — myślał półgłośno — muszę dziś otwarcie przestrzec Eugenję, a tymczasem potrzeba zapewnić się u mandatarjusza.

O milę za Oparkami wybiegał na gościniec publiczny wygon wąski i nierówny, którym zboże zwożono z pól, a który znacznie bliżej i prędzej prowadził do Buczał.

Juljusz w swym pośpiechu wybrał tę drogę, zaledwie jednak nie wielką ujechał staję, ujrzał z niemałem zdziwieniem, że szybkim pędem jakiś wóz podróżny zbliża się ku niemu. Wkrótce tembardziej wzmogło się jego zdziwienie, gdy zdala już poznał wyraźnie konie i wóz Kostia Bulija.

— Gdzie on jedzie tak rano, tą drogą?! — mruknął, przyśpieszając w biegu.

Tuż zaraz zbliżył się już zupełnie do wozu, a teraz dopiero poznał, że stary kozak, nie jechał sam W tyle wozu siedziała jakaś postać kobieca w wieśniaczym stroju.

Kost' Bulij, powożąc końmi, wyglądał jeszcze surowszym i posępniejszym na twarzy niż zazwyczaj, a niespodziewane spotkanie z dziedzicem sprawiało mu widocznie jakiś kłopot i niepokój. Juljusz spostrzegł, że kilka razy obrócił się do swej towarzyszki i szepnął jej coś na prędce.

— To ona niezawodnie! — mruknął młodzieniec, ale w tej chwili aż zadrżał zlekka, tak jakoś groźnie i surowo spojrzał na niego stary kozak.

Nie zważając jednak na to, podsunął się pod sam wóz, odpowiadając skinieniem ręki na uroczysty ukłon klucznika.

Siedząca na wozie kobieta odchyliła się na przeciwną stronę, a jakby umyślnie pozwoliła spaść na twarz długiej, białej perkalowej chustce, jaką w kształcie spuszczonego od głowy na ramiona szalu noszą w lecie wieśniaczki tych okolic. Mimo największego natężenia Juljusz nie mógł widzieć twarzy tajemniczej kobiety, wszakże po jednej stronie wyzierały z pod płóciennej osłony wcale nie po wiejsku uczesane warkocze jasnych i lśniących włosów i wygięła się na bok puszysta szyja alabastrowej białości i przedziwnego kształtu i zaokrąglenia.

— Ona! — szepnął Juljusz — niezawodnie ona!

I w pierwszej chwili chciał bez namysłu zbliżyć się do wozu i wprost zagadnąć hrabiankę, ale wnet przezwyciężyła w nim delikatność wrodzona.

Lecz nie mógł powściągnąć zupełnie ciekawości. Po kilkunastu krokach obrócił się nagle, a w tejże samej chwili obejrzała się na wpół podróżna.

Juljusz nie zdołał lekkiego przytłumić wykrzyku. Teraz już nie mógł mieć żadnej wątpliwości.

Niepodobieństwem było pojąć, dla jakich celów i powodów młoda, szesnastoletnia hrabianka na tak dziwne i awanturnicze narażała się przygody. Sama jedna, w wieśniaczem przebraniu, w towarzystwie prostego kozaka odbywała podróż prostym wozem chłopskim, nie troszcząc się o żadne względy przyzwoitości, niepomna na żadne wymagania swego stanu, płci i wieku.

— To nie do pojęcia, nie do uwierzenia! — szepnął, nie przestając z najdziwaczniejszemi bić się myślami.

Nareszcie wyjechał z ciasnego wygonu, a potem skręcił ku Buczałom, ku znanemu nam mieszkaniu mandatarjusza, czyli prześwietnemu dominium w języku urzędowym.

Pan mandatarjusz miał z natury wielki wstręt do rannego wstawania, ale dziś wyjątkowo był już od pół godziny na nogach i to nawet w ścisłem urzędowaniu. Bo też ważny wypadek wyrwał go z łóżka.

Dwóch strażników finansowych stawiło się w dominjum, wcale niepowszednie wnosząc zażalenie.

Zatrzymali w drodze jakiegoś przejeżdżającego maziarza, a podejrzywając go o przemytnictwo, chcieli przetrząść jego wózek. Ale maziarz oparł się temu żądaniu, a pochwyciwszy łusznię od wozu, stanął w zaciętej obronie. Akcyźnicy dobyli szabel, maziarz poprzestał na swojej broni. Wszczęła się zawzięta walka, jeden z akcyźników oberwał potężnego guza w czoło, drugi dwa zęby wypluł z krwią i pianą, a maziarz, lubo szablą lekko zadraśnięty po twarzy, bronił się zawzięcie i ani myślał ulegnąć. Strażnicy wdali się w układy. Zrzekając się już wynagrodzenia za postradane zęby, a otrzymane w zamian guzy, chcieli tylko okupu za towar, ale i na to nie przystał rozbójnik maziarz.

Poturbowani strażnicy chcieli już ustąpić, kiedy wtem zjawia się na gościńcu dwóch huzarów.

Ta silna pomoc niespodziewana musiała złamać zuchwały opór mniemanego przemytnika. Poddał się po krótkim namyśle, ale tylko huzarom i pod ich też zasłoną przybył w towarzystwie swych przeciwników do dominjum.

Pan mandatarjusz ubrał się na prędce i z przynależną powagą przystąpił do urzędowania. Obie ręce wsadził do kieszeni, brzuch wypiął naprzód, brwi podciągnął aż pod samą czupurynę, wąsy naszczurzył na obie strony i w takiej postawie słuchał zażalenia pokrzywdzonych.

Pan mandatarjusz wysłuchał do końca opowiadania strażników, a teraz dopiero zwrócił się do winowajcy, który niemy i nieruchomy stał w kącie, jakgdyby nie troszczył się wcale o to, co się dzieje wokoło niego.

— Gdzież jest ten łotr? — zapytał pan mandatarjusz z surowym naciskiem.

Maziarz wystąpił naprzód. Rysy twarzy jego kryły się nietylko pod gęstym dokoła zarostem brody i licznemi plamami mazi, ale i pod grubą chustką płócienną, którą dla odniesiónego zadraśnięcia tak jakoś niezręcznie owinął całą głowę, że tylko dwoje siwych, ruchliwych, iskrzących oczu wyzierało ze swych głębokich jam.

Z samych oczu poznać łatwo naszego znajomego kuma Dmytra.

Mandatarjusz spojrzał na niego bystro, ale aż o krok w tył cofnął się przed jego wzrokiem.

— Hm, hm — krząknął i jeszcze się groźniej nasrożył.

— Hm, hm — wtórował Chochelka, jakby przypominając, że już ukończył nagłówek protokółu.

— Jak się nazywasz? — zagadnął mandatarjusz oskarżonego.

— Dmytro Czaczała.

— Czaczała! także nazwisko! szepnął z uśmiechem politowania Chochelka i z dumą poprawił bakenbardów.

— Stąd jesteś? — pytał mandatarjusz dalej.

— Z gór od Skolęgo — odpowiedział maziarz krótko i stanowczo.

— Co wieziesz z sobą — ciągnął dalej mandatarjusz.

— Handluję mazią — odpowiedział maziarz jednym zawsze tonem.

— Przekonamy się łotrze — zawołał surowo mandatarjusz — zrewidować wózek i jego samego — dodał, obracając się do strażników i swego policjanta.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Księżyc świadczył...

(Nowela.)

Była to noc lipcowa, pogodna, jasna...

Księżyca pełnia tliła się na niebie, rzucając swój odblask na uśpioną przyrodę... Zazierała do chat przez okna i na podłodze kładła swe odbicia przez szyby...

Zajrzała i do chaty Wojtka, gdzie on leżał na łóżku i ani rusz nie mógł zasnąć. Coś mu nie dało zasnąć spokojnie, tylko się przewracał ciągle z boku na bok, pocił się ogromnie, bo mu gorąco było, więc pozrzucał ze siebie odzienie, żeby mu chłodniej było. W oczach go gryzło. Próbował zasnąć i wszelkie złe myśli od siebie odegnać, ale znów fala potu go oblała i myśli rój począł się migać przed jego oczami, jak kłębowisko mszyc nad rzeką przed zachodem słońca. Zerwał się z łóżka i wyszedł do pola się ochłodzić i zebrać myśli...

Trochę uspokojony powrócił do łóżka. Ale zasnąć znów nie mógł... Pełnia księżyca zatrzymała się nad lasem i zajrzała przez małe okienko prosto w oczy Wojtkowi. Wojtek obrócił się do ściany i mimowolnie uśmiechnął się do siebie...

— Z czegoóż się śmiejes, Wojtek? — spytała baba, która się właśnie zbudziła natenczas. Lecz Wojtek zmięszał się i zaczął coś mamrotać, ale mu baba znów przerwała:

— Może ci się co śniło niedobrego, żeś się tak złośliwie ośmiał?...

— E, nic mi się nie śniło, bok jesce od wiecora nie usnou, kasik mi gorko i gorko, zek się zgrzoł, jak mysza, mokryk cały.

— O rety! A może ś chory, nie?

— E, nie! Ciepło mi, bo w chałpie gorko; okna i drzwi pozawierane...

— A mnie zaś nie gorko! — wtrąciła baba, dotykając czoła Wojtkowego. — O, jakie mos coło gorkie... ty mos gorączkę... Wojtusiu tyś chory; co ci się robi?...

— E, idze, głupio babo, ciepło mi tak...

Baba dała spokój, ale chciała wiedzieć, dlaczego się tak ironicznie uśmiechnął.

— Ale... z cegoześ się tak ośmioł?... — zapytała jeszcze.

— E, no z tego miesiącka, co świeci.

— Na cóż ci ta miesiącek zrobił. coś się tak serdecznie do niego uśmiał?

— E, co się tak dopytujes... Łazi po niebie, a chmurki mu drogę zastępują, jak wilk cielęciu zabiego drogę.

— No i z tego się śmiejesz?...

— E, ności ta z tego... — mówił z apatją, co baba zaraz wymiarkowała i pytała dalej dobrodusznie:

— Mój drogi Wojtusiu, nady mi przecie powiedz, bo jo przecie nikomu tego nie powiem, co mi powiesz!

Wojtek, udobruchany komplementami żony, zaczął opowiadać straszną rzecz:

— Wies przecie, kiedy to znaleźli zabitego Jantka zza mostu?...

— Ności wiem, — odparła szybko — moześ go ty zabił?

— Cekoj, bo jo wszystko ci opowiem, jeno mos nikomu nie godać, bo...

— Jak mnie tu widzis, jeśli powiem choć słówko, to niech zaroz tu padnę na fleku! — zaklinała baba.

— Ale se wiedz! — zastrzegał. — To było tak: Kiedych się miał zenić z tobą, prawie temu będzie trzy lata, prawie była taka sama noc i ten sam miesiącek świecił, co i dziś. Sedłek ze wsi trochę podchmielony i spotkołek się z nim, to jes z Jantkiom i z nicego on mnie zacepił. Jo se nie doł dwa razy godać, skoczyłek i waliłek go gdziem mógł, on się sarpoł, az potem osłab i prosił mnie pięknie, żebym go nie zabijał. Ale mnie się rozchodziło o to, bo jakbyk mu podarowoł, toby potem było juz po mnie... Biłek do końca. On mi mówił i prosił na Boga, zebyk go puścił, bo mnie ten miesąc jasny wyświadcy. Ale jo juzek go dobił i skończyło się... Ani mie miesiąc nie wyzdradził, ani mi się nic nie stało! — I dobrzek zrobił...

Teraz mi się to przybocyło i zawse, kiedy jeno miesiąc świeci, to mi się zawse przypomino to i jego przepowiednia.

Struchlała baba na takie opowiadanie i zachwiała się na łóżku, na którem siedziała... Bo od trzech lat nigdy nie widziała u niego oblicza pogodnego, jak mile się pobrali, zawsze chodził jakiś zły, przygnębiony, nieraz wypytywała się go o to, ale on zawsze opowiadał jej co innego.

Zaraz następnego dnia spotkała się z kumoską i w sekrecie jej wyznała wszystko...

— — — — — — — — — — — — — — —

W cuchnącym i zimnym lochu siedział Wojtek za morderstwo. Klął, wyzywał babę, kumoski i bił głową o ścianę, wołając:

— Ten miesiąc mnie wyzdradził, ten miesiąc... ten miesiąc jasny!...

A księżyc przedzierał się przez kraty i patrzał na Wojtka taką straszną twarzą, wołając:

— Cierp teraz... Jam świadkiem, jam widział, jam słyszał...

Wojtek zerwał się gwałtownie, z za szwu od spodni wyciągnął małą, piłkę, wąską jak mały palec, wdrapał się na parapet okna i piłował energicznie kraty. Spojrzał w dół, ujrzał jakieś białe tafle, które się odbijały, przy jasnem świetle księżyca...

— Kiedy biorą djabli, niech biorą!... Roz, dwa, trzy — hop!...

Białe tafle zalśniły przy świetle księżyca małemi pasemkami krwi... A miesiąc widział i słyszał...

Henryk Bilka-Głębicki.

Błogosławione manewry.

(Humoreska).

Pan Kalasanty Oziminski, właściciel wioski Zakątka (powiat jasielski w Małopolsce), miał trzy córki: Marynię, Wandę i Julję. Trzy córki urodziwe jak łanie. Marynia, którą pieszczotliwie nazywał Maryną, blondynka z szafirowemi oczkami, Wanda, brunetka, z oczkami, które heban przypominały, a takie były przenikliwe, że aż ciarki przechodziły, gdy człowiek na nią spojrzał, no i trzecia Julja, której los przeznaczył stanowisko pośrednie, bo była szatynką z oczkami koloru piwa pilzneńskiego, rozumie się z browarów mieszczańskich. Rysy twarzy i formy miały wszystkie najzupełniej klasyczne, jakby modelowane były na wzór obrazu.

Były to panienki w samym kwiecie wieku.

I cóż państwo powiecie na to, że dziewice te, mimo swej niezrównanej krasy, nie miały dotychczas ani na lekarstwo konkurenta.

To też nie dziw, że pan Kalasanty Oziminski (już od lat kilku wdowiec) spoglądał nieraz, kiwając smutnie głową na swe śliczne latorośle, którym chyba przyjdzie zwiędnąć i zmarnieć w takim zaścianku.

Szkoda kwiatów, które więdną w ustroni i nikt nie zna ich powabu i woni — powtarzał w duchu.

Tak stały rzeczy, kiedy lotem błyskawicy rozeszła się radosna wieść, że w powiecie jasielskim będą w tym roku manewry. Co prawda wieść nie tyle radośnie podziałała na samego pana Kalasantego, ile na jego córki.

— Tatusiu, tatusiu — wojsko będzie, — wołały na przemiany, skacząc naokół starego, targając za wąsy, ot, jak zwyczajnie rozpieszczone i rozzuchwalone dzieciaki.

— Dobrze wam się śmiać — mówił pan Kalasanty — ale to kłopot nielada... dostaniemy trzech oficerów na kwaterę...

— Trzech oficerów, młodych! ślicznych!... to pysznie, to wybornie zawołały jednogłośnie.

— Cicho, cicho dzieciaki jakieś! cóż z tego, że młodzi i przystojni, kiedy się żaden i tak żenić nie może...

— Dlaczego, tatusiu, dlaczego? — pytały smutnie.

Panienki trochę posmutniały, ale w tej chwili rozległ się jakiś dziwny, niezwykły brzęk i stuk i do pokoju weszli trzej oficerowie.

Wszyscy chłopcy jak malowani, w mundurach. Panienki spłonęły jak wiśnie, ale nieśmiałość trwała bardzo krótko: niebawem srebrny śmieszek panienek i tenorowy głos panów podporuczników rozbrzmiewał po całym dworku Zakątka.

Pan Kalasanty byłby młodym chętnie towarzyszył, ale go zawezwał gumienny, więc poleciwszy córkom opiekę nad armją, oddał się zwyczajnym zajęciom gospodarskim.

Minęło w takim porządku dni kilka. Pan Kalasanty powracał raz z pola z miną mocno zaturbowaną. Martwił się i miał do tego słuszne powody. Nie trudno mu było zauważyć, że dziewczęta wszystkie trzy zakochane po uszy... rozdzieliły się sprawiedliwie jak siostry. Ba, krew nie woda, myślał, ale co dalej... Chłopcy odjadą, a biednym dziewczętom w spuściźnie żal tylko pozostanie. Otworzył drzwi od jadalni i o mało nie padł rażony widokiem. Przed każdą z córek klęczał porucznik.

— Co to jest?! — krzyknął ojciec.

— To jest, zawołali chórem, co gorsza nie podnosząc się wcale, — że prosimy wszyscy.

— Ja o rękę panny Wandy.
— Ja o rękę panny Marji.
— A ja o rękę panny Julji.
— Cóż wy na to, dziewczęta? na miłość boską! czyż wam nie mówiłem, — wrzasnął pan Kalasanty, chwytając się za łysinę. — Maryna!
— Ja kocham pana Adolfa.
— Wanda!
— Ja pana Henryka.
— Julcia!
—Ja pana Zdzisława.
— Ależ warjaty! warjaty i jeszcze raz warjaty! krzyczał na dobre zaperzony pan Kalasanty — ja nie mam kaucji!...

— Bagatela, panie dobrodzieju — odrzekli razem młodzi porucznicy, — my jesteśmy tylko rezerwowi.
— Ja jestem inżynierem — odrzekł Adolf.
— Ja adjunktem sądowym — dodał Henryk.
— A ja profesorem — zakończył Zdzisław.
— A niechże was kule biją! — zawołał pan Kalasanty radośnie — dajcie pyska łobuzy... no i niech was Bóg błogosławi.

— — — — — — — — — — —

W tych dniach odbyły się w Zakątku trzy wesela. Pan Kalasanty błogosławi manewry.



Poradnik gospodarczy.

Ogrodnictwo jako praca kobieca.

W Niemczech, Anglji i Szwajcarji istnieją liczne zakłady, kształcące kobiety w ogrodnictwie, a coraz większa liczba kobiet, garnących się do tych zakładów, jest dowodem, że zawód ten jest bardzo odpowiednim dla kobiety samodzielnej, która chce i musi podjąć o własnych siłach walkę o byt. Zawód ten jest zarówno korzystny dla ciała, jak i dla utrzymania świeżości umysłu, przez ścisłe zespolenie się z przyrodą. Robota jest w tym zawodzie nadzwyczaj urozmaicona. Nietylko roboty ogrodowe, jak kopanie, karczowanie, sianie, pielenie, podlewanie, sadzenie i zbieranie wchodzi w zakres nauki, ale i specjalne kursa ogrodnictwa ozdobnego, hodowli owoców, kwiatów i jarzyn, zdobniczego wiązania kwiatów. Każda ogrodniczka musi się też znać na szklarstwie, stolarstwie i ciesielce, musi być palaczem i murarzem, aby w razie potrzeby sama umiała dać sobie radę. Musi także przyłożyć rękę do ciężkich robót, a chociaż niektórym damom z początku z trudem przychodzi zwozić taczkami gnój, lub zbierać gąsienice, to zwykle po krótkim czasie przyzwyczajają się do wszelkiej roboty.

Bardzo cenną jest w zakładach tych nauka teoretyczna. Kursa teoretyczne obejmują botanikę, chemję, hodowlę owoców i jarzyn, pomiar pola, choroby roślinne, naukę o szkodnikach, znawstwo drzewa, gruntu i nawozu, szczepienie i buchalterję itd. Po ukończeniu dwuletniego kursu, panie, którym środki na to pozwalają, starają się przebyć jeszcze rok lub dwa praktyki jako wolontarjuszki przy wielkich gospodarstwach ogrodowych. Następnie mogą się specjalizować w jednym z licznych działów ogrodnictwa, naprzykład w kulturze owoców, albo jarzyn, w kulturze drzewnej itd. Przy odpowiednich funduszach mogą założyć własne gospodarstwo, w przeciwnym razie nie trudno otrzymać posadę w wielkich dobrach ziemskich, w sanatorjach, składach gospodarskich, ogrodniczych itd.

Wiadomości, nabyte w szkole ogrodnictwa, wychodzą jednak na korzyść każdej kobiecie, chociażby nie wykonywała później zawodu, lecz wyszła za mąż i nadzorowała własne gospodarstwo. Nauczy się cierpliwości i staranności, nauczy się rozpoznania roślin i cen targowych, sposobu przyrządzania owoców i jarzyn. Wiadomości z chemji i botaniki oddają gospodyniom również nieocenione usługi. Jeżeli zostaną żonami leśniczych lub rolników, to będą mężowi swemu cenną pomocą, jeżeli zaś los postawi je na stanowisku zamożnej osoby, utrzymującej otwarty dom dla gości, to przyda im się niemało nabyta zręczność w wiązaniu i grupowaniu kwiatów, w zdobieniu pokoi, schodów i przedsionków, w rysowaniu i obmyślaniu planów przy zakładaniu klombów ogrodowych itd.

Tak, każda kobieta z zakładu takiego wynosi skarby wiedzy, które zbogacają treść przyszłego jej życia. Wglądnęła w całkiem nowe, nieznane jej życie roślin; spojrzała do drobnych laboratorjów podziemnych i ze zdumieniem poznała skomplikowane mechnizmy komórkowe i tkankowe, oraz warunki rozmnażania się i wzrostu . Napełniło ją to miłością do przyrody i wielbieniem życia, a uczucia te są najczystszą, najprawdziwszą religją.

Poradnik lekarski.

Odciski (nagniotki). Częste kąpiele i wygodne obuwie. Kłaść na zgrubienia zwykłe mydło roztarte, lub plaster mydlany; kąpać w ługu, a gdy rozmiękną wyskrobać i przykładać plasterek cebuli. Wdziewać pończochy, zmaczane w wywarze siana, kąpać nogi w słomie owsianej. Obłożyć na noc watą zmaczaną w wodzie z sodą i przewiązać papierem gumowanym, rano zeskrobać.

Odra. Jest chorobą infekcyjną. Występuje epidemicznie u dzieci. W porze ciepłej przebieg jej jest łagodny, w zimnej wywołuje nieraz groźne następstwa. Objawy: lekka gorączka, kaszel, katar. Później gorączka się wzmaga, ból głowy, wysypka, naprzód na twarzy, potem na szyji, tułowiu i kończynach. Choroba ta trwa około 3 tygodni, jednak w porze zimniejszej nie należy wypuszczać dziecka z mieszkania przed upływem 5 do 6 tygodni. Niekiedy powstają różne komplikacje w tej chorobie, dlatego należy unikać przedewszystkiem przeziębienia. Leczenie: Okna zasłonić czerwoną chustką lub czerwonemi bibułkami; temperatura w pokoju ma być zwykła, chorego przykryć, lecz niezbyt ciepło, unikać zaziębienia. Na silny kaszel dawać herbatkę z ślazu, kwiatu lipowego, kwiatów maku polnego, żółtko ubite z cukrem. Okładów zimnych nie robić ani napojów zimnych nie dawać. Herbatkę słodzić miodem. Przeciwko nadmiernej biegunce dawać małe lewatywki z ślazu, krochmalu lub kleiku.

KRONIKA.

Zgon senatora Posnera. W ubiegły czwartek zmarł po dłuższej chorobie w Piorunowie, pod Lutomierskiem, wicemarszałek senatu Stanisław Posner. Ś. p. Posner należał w sejmie do klubu socjalistycznego. Był synem właściciela dóbr w Poznańskiem oraz uczestnika walk o niepodległość w r. 1863.

Zatrucie 42 uczniów. W bursie szkolnej w Mielcu, po spożyciu mięsa, uległo zatruciu 42 uczniów oraz jedna zakonnica. Jeden z zatrutych, uczeń IV klasy gimnazjalnej Władysław Mirek, zmarł. W czasie rewizji, dokonanej z udziałem lekarza powiatowego w piwnicy i spiżarni bursy, znaleziono trzy kilogramy wytopionego tłuszczu wieprzowego w zupełnym rozkładzie, beczkę kwaśnych zgniłych ogórków i garnek z gnijącem, pokrytem zieloną powłoką mięsem o wadze półtora kilograma. Były to reszty ochłapów, któremi zatruli się uczniowie. Zarząd bursy i internatu pociągnięty będzie do odpowiedzialności sądowej.

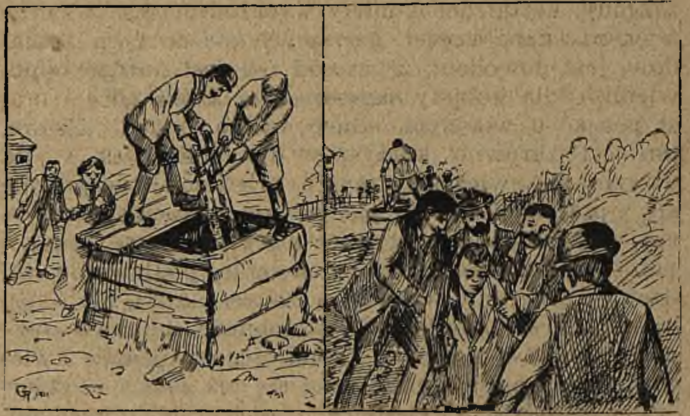
Pożar Uhnowa. W ubiegłą środę o 4 po południu wybuchł groźny pożar w Uhnowie w piekarni na Starym Rynku. Pożar wkrótce przerzucił się na sąsiednie zabudowania, tak, iż znaczna część miasta stanęła w ogniu. Z pomocą przybyła straż pożarna z okolicy. Dwadzieścia kilka domów spłonęło doszczętnie. Narazie nieustalono wymiaru szkód, jak również przyczyny pożaru. W ubiegły piątek po raz drugi wybuchł w Uhnowie pożar w jednej ze stodół. Wobec silnego wiatru płomienie przerzuciły się na inne budynki, ogarniając całą południową część miasteczka. Ogółem spłonęło 29 domów i 24 stodoły.

Pożar Mikuliczyna. Dnia 7 b. m. miasteczko Mikuliczyn, znane letnisko w Karpatach, należące do województwa stanisławowskiego, stanęło nagle w płomieniach. W ciągu kilku minut poczęło się palić w kilku miejscach, a to w południowej i zachodniej części miasta, co wskazuje na to, że miasteczko zostało podpalone przez jakiegoś zbrodniarza, działającego w porozumieniu z innymi osobnikami. Chodziło prawdopodobnie o zupełne spalenie i zniszczenie elektrowni miejskiej. Gdy słupy dymu wystrzeliły do góry odrazu w kilku miejscach, momentalnie w mieście powstał popłoch wśród mieszkańców. Natychmiast do akcji ratunkowej wyruszyła miejscowa straż pożarna, której z pomocą pospieszyli posterunkowi z przodownikiem Śliwą na czele, oraz miejscowa młodzież. W ciągu kilku godzin udało się opanować ten żywiołowy pożar i nie dopuścić do jego dalszego szerzenia się. Mimo to doszczętnie spaliły się: elektrownia miejska, apteka, tartak, dom Steina, kino i wiele innych drewnianych domów gospodarczych. W czasie akcji ratunkowej wiele osób zostało poranionych i poparzonych. Szkoda wynosi pół miljona złotych. W ciągu wieczora policja aresztowała kilka osób, podejrzanych o podpalenie. Dochodzenia w toku.

Klęska gradowa. Dnia 26 kwietnia b. r. w Grzymałowie i jego okolicy spadł grad, którego skutki dla zasiewów były katastrofalne. Grad padał przez godzinę i był wielkości dużych włoskich orzechów. Najbardziej ucierpiały gminy: Sadzawki, Krasne, Huta, Wolica i Kręciłów. W cerkwiach, kościołach i domach przeważnie szyby zostały powybijane. Młodsze drzewa owocowe zupełnie zniszczone, starsze uszkodzone. W trzy dni później poszkodowane gminy objechał starosta skałacki i kazał szkody oszacować. Naogół trzy czwarte roli w wymienionych gminach trzeba na nowo przeorać i zasiać. Ludność jednakże nie ma potrzebnego nasienia. Pomoc rządu jest konieczna.

Tragiczny koniec bójki. Dnia 28 ub. m. zdarzył się w Ostawach Czarnych, pow. Nadwórna, tragiczny wypadek, który pociągnął za sobą życie ludzkie. Wasyl Szorgoniak spowodował podczas zabawy bójkę między parobkami i trzymając w ręce nóż, zagrażał swym przeciwnikom. W obronie tychże stanęła Marja Wadiuk, bijąc polanem Szorgoniuka, a Dmytro Wadiuk, brat Marji, chcąc uwolnić ją od napastnika, wyjął rewolwer i strzelił w kierunku Szorgoniuka, jednak trafił Marję Wadiuk w szyję, w okolicy lewego ucha, zadając jej śmiertelną ranę tak, że ta po kilkunastu minutach zmarła.

Cudem ocalony. W dniu 3 b. m. wieś Przełaj w pow. jędrzejowskim (woj. kieleckie) przeżyła nielada sensację, która poruszyła nietylko tamtejszych mieszkańców, lecz i ludność z szeregu okolicznych wsi. Oto w godzinach porannych do otwartej studni korbowej należącej do gospodarza Józefa Bieli wszedł robotnik 20 letni Drudziński, celem przeprowadzenia remontu studni. W chwili, gdy Drudziński znajdował się w studni, zaczęły się sypać z początku do wnętrza pojedyncze kamienie, a w parę sekund później obsunęła się nagle część szkarpy studni. Drudziński zdawał się być żywcem pogrzebany. Przez wąską szczelinę dochodziły coraz słabsze jęki nieszczęśliwego. Bawiące się w pobliżu studni dzieci zaalarmowały całą wieś, wzywając dla pogrzebanego ratunku. Kto żyw, chwytał za łopatę i spieszył na miejsce wypadku z pomocą.



Spuszczono do studni drabinę ale i to nic nie pomogło, gdyż do zasypanego robotnika dostać nie było można. Przybyła wreszcie policja, naczelnik gminy, nadbiegli z łopatami mieszkańcy z sąsiednich wiosek. Zadecydowano rozkopanie studni. Zebranych podzielono na grupy, które na przemian bez wytchnienia kopały od godziny 9 rano do 7 wieczorem. Wydobytą ziemię i kamienie wywożono furmankami. Fur takich, jak nas informują, wywieziono około sto. Wreszcie w parę minut po godz. 7 wieczorem wydobyto na wierzch na wpół omdlałego Drudzińskiego, który tylko cudem uniknął śmierci, gdyż w momencie gdy runęła ziemia, zdołał wcisnąć się do bocznego rozszerzenia w dolnej części studni.

Zamienione niemowlęta. Sąd okręgowy w Kaszawie będzie się zajmował niebawem bardzo interesującą aferą. W zakładzie dla położnic w Kaszawie urodziły przed dwunastu laty dwie kobiety synów. Niemowlęta zostały zamienione przez położną. Gdy położna zorjentowała się w omyłce, nie mogła jej już naprawić, gdyż jedna z kobiet znajdowała się już poza obrębem zakładu, a położna chciała uniknąć przykrej awantury. W jakiś sposób jeden z owych synów, liczący obecnie 19 lat, dowiedział się o tej zmianie. Jest to syn ubogich rodziców, gdy tymczasem rodzice drugiego młodzieńca dorobili się bardzo znacznego majątku. Ów zamieniony syn domaga się swoich praw i udało mu się

zebrać odpowiedni materjał dowodowy. Nic dziwnego, że proces ów zapowiada się bardzo ciekawie.

Walka chłopów z bandytami. Zuchwałego napadu dokonano na zagrodę niejakiego Rogozińskiego we wsi Wola Szydłowiecka w powiecie skierniewickim. Kilku bandytów wpadło do domu Rogozińskiego i zrabowało przeszło 300 dolarów i odzież. Po dokonaniu rabunku bandyci skradli u innego gospodarza wóz i zbiegli w kierunku pobliskiego lasu. Pod wodzą Rogozińskiego wyruszyli za nimi w pościg chłopi uzbrojeni w widły, cepy i drągi. Bandytów dogoniono na skraju lasu. Zaczęli się oni gęsto ostrzeliwać i jedna z kul położyła trupem na miejscu 24 letniego Stanisława Rogozińskiego. W pościg puściła się również i policja z okolicznych powiatów w sile około 100 ludzi z karabinami maszynowemi i granatami. Pościg trwał kilka godzin. W czasie strzelaniny śmiertelnie ranny został herszt bandy Władysław Radłowski. Wkrótce potem w ręce policji wpadli pozostali uczestnicy napadu, a to dezerter z 18 pułku Czerwiński, złodziej kolejowy Siewierski i kilku innych poszukiwanych przez policję osobników. Podczas ostrzeliwania się bandytów raniony został ciężko w skroń włościanin Antoni Biegański oraz odnieśli rany posterunkowi Rutkowski i Sawicki. Ogółem zatrzymano 8 bandutów, których skuto w kajdany i przewieziono pod silną eskortą do Żyrardowa.

Napad bandycki na pałac. Do kancelarji majątku Jabłowa włamali się nieznani sprawcy i po rozbiciu kasy zabrali większą gotówkę. Następnie bandyci wdarli się do pałacu i poczęli rozbijać żelazną szafę, w której przechowywano drogocenne przedmioty. Szmery usłyszał p. Kowalewski, który spłoszył bandytów. Wywiązała się strzelanina. Bandyci, ostrzeliwując się, znikli w pobliskim lesie.

Okrutne morderstwo. W leśniczówce Zelaw w lasach państwowych pod Wieluniem bandyci zamordowali dwóch ludzi. Zbrodnię wykryli okoliczni wieśniacy, którzy przybyli rano do lasu po zakup drzewa. Nie zastawszy gajowego 57 letniego Walentego Jasińskiego przy sągach drzewa, udali się do pobliskiej leśniczówki, gdzie w pierwszej izbie ujrzeli leżącego w kałuży krwi syna gajowego 15 letniego Czesława, a w drugiej izbie samego Jasińskiego. Wieśniacy powiadomili o tem policję. Przeprowadzone dochodzenia wykazały, że Jasiński został zamordowany strzałami rewolwerowemi. Po zabiciu Jasińskiego bandyci wpadli do chaty, gdzie spotkali syna Czesława ze strzelbą w rękach. Gdy chłopiec ugodzony nożem upadł na ziemię, bandyci poderżnęli mu gardło. Łupem bandytów padło 50 złotych gotówką, kilka pierścionków, zegarek i garderoba. Policja prowadzi dochodzenie, którego wyniki trzymane są w tajemnicy.

Wrażenia niewidomego. W Jägendorf w Czechosłowacji żyje muzyk, który się urodził niewidomym i nikt nie pomyślał początkowo, by można było usunęć mu ślepotę. Dopiero teraz po udanej operacji, niewidomy poraz pierwszy w życiu przejrzał. Przez kilka dni był w kłopocie nielada, gdyż nie wiedział wogóle, jak się posługiwać wzrokiem, który mu na razie nic nowego nie dodał, gdyż wzrok zastępował mu niezwykle wysubtelniony dotyk palców. Gdy mu wskazano kawałek mydła, nie wiedział, do czego ta rzecz może służyć. Dopiero, gdy wziął ten kawałek w rękę, zawołał: „Ależ to jest mydło!" i wymienił zaraz markę fabryczną. Najwięcej strachu nabawiły go nożyczki, dopóki nie zdecydował się wziąć je w ręce. Wrażenie z oglądania pierwszego malowanego obrazu nie da się opisać. W ten sposób musiał, jak dziecko, uczyć się poznawania przedmiotów wzrokiem, które znał dotychczas tylko z dotyku.

Straszna tragedja rodzinna. Straszna tragedja rodzinna rozegrała się onegdaj w nocy we wsi Loschau koło Ołomuńca. 34 letni majster krawiecki Srubar wrócił około północy z szynku. W stanie pijanym rzucił się na trzech członków swojej rodziny i zabił siekierą żonę swoją Marję i dwunastoletniego syna Franciszka. Mały, 7 letni syn Stanisław odniósł ciężkie rany. Srubar rąbał swoje ofiary z krwiożerczą zaciekłością i nawet po śmierci zadał im szereg ciosów siekierą. Potem udał się na tor kolejowy i położył się na szynach. Przejeżdżający pociąg osobowy z Jägerndorfu rozszarpał go w kawałki. Nazajutrz znaleziono poszarpane jego ciało. Straszną zbrodnię w domu krawca odkryto dopiero o godzinie jedenastej przed południem. Małego Stanisława odwieziono do szpitala, gdzie wkrótce zmarł. Srubar żył w wiecznej niezgodzie z żoną, która chciała się z nim rozwieść. Możliwe, że to było powodem tego strasznego czynu.

Ograbienie finansowego doradcy Polski. W ubiegłym tygodniu samochód, w którym jechał doradca finansowy rządu polskiego p. Devey, żona ministra pełnomocnego Rzpltej polskiej w Bukareszcie Szembekowa i minister pełnomocny Rumunji w Waszyngtonie Davila, został napadnięty w nocy w pobliżu Bukaresztu przez sześciu bandytów. Pod groźbą rewolwerów pasażerowie zostali ograbieni, przyczem p. Szembekowej odebrano klejnoty, które miała na sobie, poczem bandyci pozwolili napadniętym odjechać do Bukaresztu. Wypadek miał miejsce w czasie powrotu z pałacu Mogoshavia w okolicach Bukaresztu, gdzie książę Bibescu wydał obiad na cześć p. Deveya.

Morderstwo z miłości. Kupiec Berner z Solnogrodu budował sobie willę w miejscowości Hallwag. Wśród pracowników, zajętych przy budowie, znajdował się trzydziestoletni Ksawery Grabherr, z zawodu majster ciesielski. Podczas odwiedzin rodziny Bernerów na budowie, Grabherr zobaczył dwudziestokilkuletnią pannę Berner, odznaczającą się niezwykłą urodą i zakochał się w niej do szaleństwa. Przed dwoma tygodniami wyznał jej swoją miłość. Panna Berner okazała dużo taktu. Spokojnie oświadczyła, że dziękuje mu za to piękne uczucie, jakie dla niej żywi, lecz prosiła, by o niej zapomniał, ponieważ nie może być mowy o związku małżeńskim między nimi z powodu różnic majątkowych i wyznaniowych, gdyż panna była katoliczką, a on protestantem. Po tej odmowie, Grabherr zwierzył się współtowarzyszom pracy, że zemści się na dumnej dziewczynie. Onegdaj czyhał on na pannę Berner, która przybyła do willi. Napadł na nią z dużym nożem i zadał jej kilka pchnięć w piersi. Oblana krwią, runęła na ziemię. Sprawca zamachu uciekł. Nieszczęśliwą ofiarę przewieziono na klinikę w stanie bardzo groźnym. Lekarze oświadczyli, że niema nadziei utrzymania jej przy życiu. Policja, która puściła się w pogoń za mordercą, zdołała go przyłapać dopiero nazajutrz. Grabherr oddany zostanie sądowi.

W sieciach djablicy. Przed sądem w Heidelbergu toczył się w tych dniach proces, wzbudzający ciekawość ze względu na osobę oskarżonej, niejakiej pani Irmy Bruns, odpowiadającej za ukrywanie kradzionych rzeczy i inne oszustwa. W grę wchodziły kradzieże u jubilerów i oszustwa popełnione przez znanego berlińskiego złodzieja sklepowego, Hansa Lengefelda. Kradzieży tych dokonał Lengefeld nie dla siebie, ale dla pani Bruns, w której sidłach znajdował się, jak wielu innych mężczyzn, będących ofiarami tej djablicy. Irma Bruns jest córką bardzo znanego malarza niemieckiego, profesora Heffnera i urodziła się w Medjolanie. Już w czternastym roku swego życia uciekła z domu rodziców i zo-

stała wkrótce potem kochanką bogatego Anglika, któremu urodziła dziecko, mając 16 lat. Anglik chciał się z nią ożenić, ale Irma czuła się zbyt młoda, aby się z nim wiązać i znowu uciekła. Potem poznała małżeństwo bardzo gruntownie, ponieważ wyszła zamąż 6 razy. W szóstem małżeństwie trwa dotychczas. Czterech mężów Irmy popełniło z powodu niej samobójstwo. Jeden był literatem, jeden majorem, jeden akademikiem, a ostatni rotmistrzem. Wszyscy byli w niej do szaleństwa zakochani, podobnie jak złodziej sklepowy Lengefeld, wszyscy cierpieli bezgranicznie z powodu niej. Życie jej upłynęło wśród nieustannej włóczęgi od hotelu do hotelu, od pensjonatu do pensjonatu, nawet wśród nor złodziejі i przestępców. Każdy poddawał się jej urokowi i obdarzał ją zaufaniem, aby być w końcu zdradzonym i oszukanym. Zbyteczną jest rzeczą dodawać, że pani Irma dopuściła się w swojem bujnem życiu szeregu oszustw. Twierdzi i twierdziła zawsze, że jest prawnuczką króla bawarskiego Maksymiljana. Osobą jej zajmowali się liczni psychjatrzy, powagi naukowe o znanych nazwiskach. Opinje lekarskie o jej stanie umysłowym i psychjatrycznym obeimują dzisiaj tom objętości 100 stronic. Ilekroć pani Irma stanie przed sądem, usiłuje z mniejszem lub większem powodzeniem udawać chorą. Udało się jej to już niejednokrotnie. Ale tym razem sąd nie dał się jej wziąć na kawał i dostała rok więzienia. Skoro tylko wyjdzie z więzienia, będzie musiała odsiedzieć dalsze półtora roku za inne przestępstwa.

W rękach handlarzy żywym towarem. Z Berlina donoszą: Przed kilku tygodniami wyjechało z Berlina, jak już donosiliśmy, wśród sensacyjnych okoliczności wbrew doradom władz i publiczności do Argentyny 12 młodych dziewcząt, zaangażowanych przez berlińską manażerkę p. Schmeling. Obawiano się wówczas, że dziewczyny te dostaną się w Ameryce w ręce handlarzy żywego towaru, co się niestety ziściło. Jedno z pism berlińskich przynosi obecnie sensacyjne rewelacje, na podstawie doniesień pewnego dziennika niemieckiego w Sao Paolo o losach tych dwunastu dziewcząt. Sprawozdawca tego pisma odwiedził je na pokładzie parowca w Rio de Janeiro. Próbie zbliżenia się reportera do dziewcząt, oparła się początkowo towarzysząca im w całej podróży Schmelingowa. Jedna z dziewczyn oznajmiła mu, że zamieszkują w Buenos Aires w pensji „Parisiana", w której, jak twierdził korespondent, spotykają się handlarze dziewcząt z całej Argentyny, aby skupować tam „towar" za cenę 3 do 4 tysięcy pezów. Z innych prywatnych doniesień z Montevideo wynika, że jedna z dziewcząt z rozpaczy chciała zażyć trucizny. Dwie inne dziewczyny, które przez czas jakiś zatrudnione były w pewnym osławionym lokalu nocnym, całkiem zaginęły i niewiadomo nic o ich losie.

Straszny wybuch w fabryce. Z Londynu donoszą, że w wielkiej fabryce makuchów Braci Lilbys w Liverpoolu nastąpiła straszna eksplozja, której ofiarą padło ponad 100 osób zabitych i rannych. Eksplozja nastąpiła w magazynie zboża i pożar z niesłychaną szybkością objął całą fabrykę. Straż ogniowa nie zdołała uratować robotników. Dokładnej liczby spalonych nie można jeszcze ustalić.

Wiek mu nie przeszkadza. Poseł do parlamentu angielskiego, socjalista Will Thorne, mimo swych 72 lat wstępuje po raz czwarty w związki małżeńskie. Narzeczoną jest 42-letnia panna Beatrycze Collins, która od dwóch lat prowadziła dom dom p. Thorne jako gospodyni. Poseł Thorne pochodzi z bardzo ubogiej rodziny, czego się bynajmniej nie wstydzi. Jego rodzice pracowali w cegielni, a on sam, jako chłopiec pracował u fryzjera. Na jednem z zebrań swej partji oświadczył on niedawno, że niegdyś utrzymywał żonę i czworo dzieci, zarabiając 5 szylingów dziennie. Thorne jest znany z tego, że ma najsilniejszy głos ze wszystkich swych kolegów, i że jest zupełnym samoukiem, bowiem ani jednego dnia swego życia nie spędził w szkole. Zapytany o opinję w sprawach matrymonjalnych, wyraził się o małżeństwie w słowach następujących: „Małżeństwo, to jak nożyczki. Jedna połowa bez drugiej niema wartości. Jeżeli żona i mąż działają w ten sposób jak dwie połowy nożyczek, wówczas małżeństwo jest dobrane".

Ofiary orkanu. Gwałtowny orkan, który nawiedził południową część Sachalinu oraz wyspę Hokkaido, spowodował śmierć wielu rybaków. Około 100 osób przepadło bez wieści. Fale morskie wyrzuciły na brzeg wiele trupów. Szkody materjalne oblicza się na 5 miljonów jen. Liczba ofiar ostatniego orkanu zbliża się do 200. Dotychczas znaleziono 94 trupy, o 100 osobach niema dotychczas żadnych wiadomości.

Pogrzeb „króla" bandytów. Król bandytów chicagowskich, słynny Jonny Aubert, padł na „polu chwały" pod kulami członków bandy konkurencyjnej. Ciało jego znaleziono za miastem podziurawione jak sito. — Przyjaciele i podkomendni Jonny'ego urządzili mu wspaniały pogrzeb. Sama trumna z bronzu ze srebrnemi ozdobami kosztowała 3.000 dolarów. Na czele konduktu pogrzebowego postępował oddział uzbrojonej policji, gdyż istniała obawa, że oddanie ostatniej posługi „królowi" może stać się dla jego poddanych hasłem do wywarcia zemsty na przeciwnikach, bez czego jednak obeszło się. Wieńce za trumną wieziono na czterech samochodach ciężarowych. Nad grobem przemawiał jeden z najbliższych kompanów suwerena bandyckiego.

Ślub pod wodą. W „suchej" Ameryce nie wolno wprawdzie pić alkoholu, ale używanie wody dozwolone jest we wszystkich kierunkach. Skorzystała z tego młoda para zakochanych, 27 letni J. F. Gutrick i 25 letnia Kate Wilson i odbyli ceremonję zaślubin w basenie pływalni hotelu Ambasador w Los Angelos. Młoda para zjawiła się w pływalni w zwyczajnych strojach ślubnych: panna młoda miała na sobie wspaniałą suknię różową, pan młody był we fraku. Tylko okrycie głowy było zmienione. Zamiast kapelusza i cylindra mieli oboje nowożeńcy hełmy nurków na głowie. Od hełmu tego prowadziły w różne strony niezliczone węże i druty. Wśród radosnych okrzyków zebranych weszli nowożeńcy do basenu. Za nimi postępował kapłan ewangelicki, Sheldon Shepard, z kościoła ewangelickiego w Los Angelos, również w hełmie na głowie. Cała ta trójka zanurzała się powoli w wodę, aż zniknęła zupełnie pod powierzchnią. Jedynym widocznym ich znakiem były wystające z wody węże i druty. Przy pompie pracowali goście weselni, aby dostarczyć nowożeńcom i pastorowi powietrza. Ślub pod wodą trwał ledwie kilka minut. Potem poślubieni wyszli zaraz z pastorem z basenu, ociekając wodą i przyjmując życzenia gości.

Ilość samochodów w Ameryce. Jak obliczono, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest obecnie 26 miljonów samochodów, czyli cztery samochody przypada na pięć rodzin. Przemysł samochodowy zatrudnia więcej ludzi, niż ich Stany Zjednoczone wysłały na wielką wojnę światową; równocześnie jednak samochody zabiły w ciągu ostatnich trzech lat tylu ludzi, ile ich Ameryka straciła podczas wojny światowej. W jednym tylko stanie nowojorskim zginęło ich w zeszłym roku 3 000, w czem samych dzieci około 300.

RZECZY CIEKAWE.

Gdzie najłatwiej wyjść zamąż?

Oczywista tam, gdzie liczba kobiet jest stosunkowo mniejsza, niż liczba mężczyzn, co odpowiada znanej zasadzie ekonomicznej, że im większa podaż, tem mniejszy popyt i odwrotnie. Otóż nie we wszystkich państwach istnieje jednakowy stosunek liczby kobiet i mężczyzn, gdyż w jednych jest więcej kobiet, w drugich znowu więcej mężczyzn.

Największe szanse zamążpójścia posiadają koreanki, gdyż na tysiąc kobiet przypada tam 1420 mężczyzn, czyli że na tysiąc mężczyzn żonatych przypada 420 mężczyzn z góry skazanych na starokawalerstwo. W Chinach na 1000 kobiet wypada 1250 mężczyzn, w innych krajach azjatyckich również istnieje znaczna przewaga liczby mężczyzn nad liczbą kobiet. Słowem nie tak znowu łatwo znaleźć sobie żonę w Azji.

Zupełnie odwrotny stosunek panuje w Europie: tu jest więcej kobiet niż mężczyzn i dlatego szanse zamążpójścia dla kobiet są bez porównania mniejsze.

Najgorzej sprawa przedstawia się w Anglji, gdzie na 1000 kobiet jest 935 mężczyzn, we Francji, we Włoszech i w Niemczech.

Samozapalające się papierosy.

Papierosy tego rodzaju wypuściła na rynek jedna z wielkich fabryk amerykańskich. Zapalający się koniec wygląda jak główka zapałki, jakkolwiek chemicznie jest innego pochodzenia i sprowadza zapalenie się papierosa bez użycia żadnego źródła ciepła.

Właściwie pomysł ten nie jest nowy, gdyż już w r. 1881 w Niemczech był opatentowany podobny wynalazek przez jakiegoś Rosjanina.

Wadą tego sposobu, jak zresztą i innych po nim zjawiających się systemów, był nieprzyjemny smak papierosa wywołany przez główkę zapalną, składającą się z siarki i fosforu.

Następni wynalazcy starali się zmienić skład chemiczny główki, ale bez wielkiego powodzenia.

Dopiero ostatnio, dwom chemikom amerykańskim udało się dopiąć celu i to sposobem tanim.

Kompozycja użyta przez nich jest o takim składzie, że zapala się łatwo przy potarciu o specjalnie spreparowaną powierzchnię, podobną do tych, jakie używane są dziś do pocierania szwedzkich zapałek, na pudełku z papierosami.

Co jednak jest ciekawsze, że paierosy te zapalają się na wietrze najsilniejszym nawet.

Pozatem minimalna ilość masy zapalnej zupełnie nie wpływa na smak tytoniu.

Obecnie można spotkać na rynku amerykańskim wiele znanych marek papierosów, zaopatrzonych w samozapalające się główki, a opierając się na zdaniach palaczów, należy przypuszczać, że tym razem została rozwiązana pomyślnie sprawa drobnego wprawdzie wynalazku, który jednak był w opracowaniu od szeregu lat.

W jakiej postawie śpią zwierzęta?

Zwierzęta nie sypiają w sposób jednakowy, każdy rodzaj posiada sobie tylko właściwy sposób spoczynku. Zając śpi z otwartemi oczyma, tak samo śpią ryby i węże. Bociany śpią stojąc na jednej nodze. To samo mewy. Kaczka najchętniej sypia, pływając na pełnej wodzie. Słonie śpią stojąc. Lis i wilk zwijają się w kłębek i kładą pysk na tylnych nogach, podobnie jak pies. Często przykrywają się jeszcze puszystym ogonem jak kołdrą. Nietoperze śpią w pozycji wiszącej głową na dół. Konie stoją lub kładą się, gdy są bardzo zmęczone. Małpy sypiają w najniemożliwszych pozycjach, często bardzo wisząc głową na dół, uczepione gałęzi tylnemi nogami lub ogonem.

Cukier z drzewa.

Niedawno puszczono w ruch w Szczecinie fabrykę, obliczoną na produkcję 20.000 tonn rocznie cukru z drzewa, przeznaczonego dla żywienia bydła.

Cukier taki bynajmniej nie jest konkurentem cukru buraczanego lub trzcinowego, gdyż nie posiada ich własności.

Jak wiadomo, oddawna już znane są sposoby wyciągania z drzewa alkoholu; a zatem, w pewnej fazie przejściowej, drzewo to było „cukrem".

Główną częścią składową drzewa jest celuloza, ciało pokrewne krochmalowi, który podlega sacharyzowaniu od wielu lat.

Traktując w podobny sposób celulozę za pomocą kwasu, na gorąco i pod ciśnieniem, można doprowadzić do rozbicia cząstki celulozy, i dodając im po cząsteczce wody — otrzymać cukier.

Przy wyrobie np. alkoholu wydajność jest duża, gdyż otrzymuje się do 25 litrów alkoholu czystego ze 100 kg. trocin.

Proces ten jednak został zarzucony z tego powodu, że kwas solny, używany tutaj, niszczył metal naczyń.

Niemcy ominęli trudności w ten sposób, że traktują drzewo pod ciśnieniem za pomocą bardzo słabego rozczynu tego kwasu (1 do 1000), otrzymując w ten sposób 150 litrów alkoholu z tonny drzewa.

Rząd niemiecki, mający monopol w tej gałęzi, rzuca corocznie 35.000 hektolitrów alkoholu na rynek.

Prawdopodobnie Niemcy uważali za rzecz wygodniejszą ograniczyć przemianę drzewa do stopnia cukru, nie poddając go fermentacji i wytworzyć w ten sposób paszę pożywną dla bydła.

Ponieważ produkt ten jest w smaku bardzo mało słodki, należy wnosić, że znajduje się on na granicy między cukrem a krochmalem, mało różniących się między sobą chemicznie.

Otóż, chcąc przekonać się, jak łatwo pierwsze ciało przechodzi w drugie, dostatecznem jest potrzymać kawałek ośrodka z chleba w ustach: po krótkim już czasie uczuwa się słodki smak. Pod działaniem bowiem fermentów śliny krochmal zbożowy został zhydralizowany, t. j. wzbogacony o jedną cząsteczkę wody i zamieniony na cukier rozpuszczalny.

Niema zatem w tem nic nadzwyczajnego z punktu widzenia czysto naukowego, że Niemcy tą drogą otrzymali produkt pożywny z drzewa. Praktycznie jednak wziąwszy, proces ten napotkał na wielkie trudności i zajmował oddawna umysły francuskich hodowców winnicowych, którzy chcieli wyzyskać w korzystny sposób łodygi wina. Dotychczas Niemcy trzymają w sekrecie swój sposób, tak, że zdobycie tajemnicy będzie Francuzów kosztowało wiele trudów i pieniędzy.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **F. Kiepura** w D.: Opowiadanie p. t. „Król w klasztorze“ zamieścimy z małemi poprawkami. — **Golgola** w B.: Co do poprzednio nadesłanych wierszy nic nie możemy odpowiedzieć, gdyż poszły zaraz do kosza. A i obecne, choć posiadają pewne zalety, ale jeszcze nie nadają się do druku. Każdy wiersz, oprócz zajmującej treści i polotu poetyckiego, powinien posiadać trzy rzeczy, a mianowicie: rym, rytm i kadencje. Rym jest to podobieństwo brzmienia końcówek w dwóch albo w więcej wierszach. Rymy dwuzgłoskowe nazywamy żeńskimi, np. błaski-wrzaski, karki-janczarki; jednozgłoskowe męskimi np. blask-wrzask, ma-drwa. Jeżeli między następującymi po sobie ruchami, głosami i t. p. powtarzają się w pewnym porządku takie same odstępy czasu, wtedy przypisujemy tym ruchom i głosom rytm i nazywamy je rytmicznymi. Najprostszego przykładu rytmu dostarcza odgłos zegarka (tik-tak), albo miarowy chód; zarówno bowiem głosy, które wydaje zegarek, jak też ruchy, które człowiek, chodząc, wykonywa nogami, powtarzają się w regularnych odstępach czasu. Kadencją nazywamy właściwe następstwo słów po sobie. Błędne ustawienie tych słów psuje kadencję, a temsamem i cały wiersz. Nie należy zapominać także o ilości zgłosek w wierszu. Weźmy np. czterowiersz. Nie można napisać w pierwszym rządku ośm zgłosek, w drugim sześć, w trzecim dajmy na to pięć, a w czwartym siedm i t. p., ale ilość zgłosek musi być we wszystkich rządkach jednakowa np. ośm, albo w 1 i 3 jednakowa, a w 2 i 4 mniejsza lub większa od poprzednich dwóch, ale sobie równa. Wprawdzie są wyjątki od tej reguły, ale i wówczas jakieś zasady muszą być zachowane. Np. bajki mają różną ilość zgłosek, ale i pisanie takich wierszy jest nieco trudniejsze. Jako przykład niech służy dwie zwrotki z Pańskiego wiersza p. t. „Kłótliwi“. Pierwsza zwrotka posiada wszelkie cechy dobrego wiersza, a brzmi: „Zawsze jestem zachwycony Pięknem licem mojej żony, Tylko to mnie jedno smuci, Że się ze mną często kłóci“. Jest tu rym dobry i rytm niezły i kadencja należyta i ilość zgłosek właściwa. Ale już druga zwrotka warunków tych nie posiada: Brzmi ona: „Te jej swary, te jej kłótnie Nie zagłuszą, chyba lutnie. Tak głośno wrzeszczy i mamrota, Ja czasem myślę, że zamiast buzi posiada wrota“. Otóż w zwrotce tej jest tylko rym, ale brak rytmu, a kadencje djabli wzięli, nie mówiąc już o ilości zgłosek i przeto cały wiersz, jak to mówią, do bani! Wskazówki nasze płyną z dobrego serca, gdyż, jak to widać z innych wierszy, mógłby Pan nawet dobrze pisać, gdyby nie te błędy, które dotychczas Pan popełniał pod względem formy. — **Edward Cygan** w J.: „Tchórza“ zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. — **Leon Bałko** w B.: Z kartki Pańskiej nie możemy zrozumieć, o co się Panu rozchodzi. Broszurki takiej nie znamy. — **Jan Dzień** w Szcz.: Kaśka złociakiem ogromnie się ucieszyła, a jeszcze bardziej miłym wierszykiem i pamięcią o niej. Za słowa: „Żyj sobie, Kasiu, sto lat wesoła i zdrowa, tego ci życzy Janek i cala Szczurowa!“ serdecznie tak, Panu, jak i wszystkim jej życzliwym pięknie dziękuje. — **Tadeusz Frączek** w R. i **Stanisław Łętowski** w C.: Zagadki otrzymaliśmy i zamieścimy je w miarę miejsca. — **Józek C.** w K: Rebusy przyjmiemy, o ile będą dobre; jednak, kiedy będą drukowane, podać nie możemy. Przy rysowaniu prosimy uważać, aby wielkość wszystkich była jednaka i najlepiej rysować tuszem czarnym.

Unieważnia się zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko Jaksan Piotr, urodzony w roku 1904 w Ostrowie, pow. Ropczyce, syn Jana i Marji, wystawioną przez P. K. U. Rzeszów.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Pachołek).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wyspa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Dziki zwierz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Wódz po ukraińsku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Bóg sztuki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kukułka po rusku.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Jest w kościele.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Europie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Naczynie kuchenne.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Mówią wstecz.

Wyrazy początkowe czytane z góry na dół dadzą tytuł powieści J. Kraszewskiego.

2. Szarada.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Wstecz pierwsza, miarą zawsze pozostanie
Pierwsza i trzecia znowu drogi panie
Jest sztucznym ogniem. A trzecia i pierwsza
Nazwa władcy. By dokończyć wiersza
Powiem już całość. Jest to u zwierząt kończyny ochrona
Ale nie u wszystkich, lecz tylko niektórych z ich grona.

3. Drobne szarady.

(Ułożył Marjan Wietrzny z L.).

I.

Pierwsze drugie przewód pod ziemią przeprowadzony,
Drugie pierwsze drzewo, drąg, pal obrobiony.

II.

Pierwsze drugie imię męskie każdemu jest znane,
Drugie pierwsze zaś kółko przy blokach używane.

4. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Spółgłoska (fonet) + powróz = imię żeń.
Ptak + spółgłoska (fonet) = imię męskie.
Kraj w Afryce połud. + zaimek = imię żeńskie.
Miara pow. + zwierzę = imię męskie.

5. Kwadrat magiczny.

(Ułożył W. Zieliński z S.).

					Powieściopisarz niem.
					Schowek.
					Jedna z muz.
					Zwrot.
					Prędki.

6. Rekonstrukcja.

(Ułożył Tadeusz Kwerka z W.).

b			k
	a	m	
	m	ó	
k			k

W powyższej figurze wypełnić puste kratki literami, aby dały wyrazy o jednakowem znaczeniu, tak pionowo jak poziomo.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 23 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 18 „Roli“: 1. Krzyżówka: Wyrazy poziome: Mak, Ewa, ee, ar, fa, fant, acan, dwa, ot, kot, nos, parada, obraza, na, Natalja, ar, be, da, ma, rad, kat, bm, ekwipaż, nl, sa, nosze, ec, ka, to, palant, cetnar, ty, osa, ro, ada, Raba, asok, kr, la, uw, psa, Ada. Wyrazy pionowe: Men, kaftan, aaaaaa, Ada, etap, car, anno, Don, kat, ar, sieć, masło, dar, zz, Brema, ar, rada, Bako, rab, skok, tli, masło, kk, Nicea, ja, na, sa, kot, et, ona, park, agalp, to, ca, trawa, nos, raki, ara, ona. 2. Szarady: I. Japonja. II. Adwokaci. 3. Rekonstrukcja: Taktatak-kara-tkać.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Jan Gara z W., Irena Wnękowiczówna z D., Stanisław Lis z P. Ż., Józef Węgiel z C., Tow. ośw. kult. „Ojczyzna“ z M. K.

Nagrody wylosowali pp.: Stanisław Lis z P. Ż. i Tow. „Ojczyzna“.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 9 maja b. r.

Pszenica .	39·00—39·50	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	18·00—18·50	Ziemniaki stoł.	5·50—6·00
Owies . .	18·00—18·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	18·00—18·50	sienn. czer.	200·00—230·00
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka żytnia	35·00—35·50
Groch zwyk.	32·00—33·00	Mąka pszen.	69·00—70·00
Siano słodk.	8·00— 9·00	Otręby pszen.	14·00—15·00
Łubin żóły	00·00—00·00	Otręby żytnie	14·00—00·00
Koniczpastew.	12·00—13·00	Mąka czerw.	18·00—18·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 9 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·98 zł.	Jałownik	od 0·92 do 1·50 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·59 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 2·01 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·92 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·25 do 2·57 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.36

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA
Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem
na maladze hiszpańskiej

reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiające szybko przywraca siły**, a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema, zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem
Naśladownictwo energicznie odrzucić!

Ceny z opłaconą pocztą i opakowaniem są następujące:

2 fl. mniejsze zł. **6.—** 5 fl. mniejszych zł. **13.—**
1 fl. podwójny zł. **5.—** 5 fl. podwójnych zł. **22.—**

BALSAM KAPUCYŃSKI

z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego
podług przepisu O. Norberta z Pragi.

Najskuteczniejszy w bólach i kurczach żołądka, usuwa złe trawienie, pobudza apetyt, niezawodny w nudnościach, słabościach, wymiotach i omdleniach, nieoceniony środek w czasie podróży i pielgrzymek oraz w słabościach kobiecych.

Leczy zastarzałe rany, owrzodzenia, usuwa ból zębów, gardła, dziąseł, chroni zęby od zepsucia.

Jako niezbędny środek domowy winien być w każdym domu — w nagłych wypadkach oddaje nieocenioną przysługę. — Żądać wyraźnie Balsamu Kapucyńskiego z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego naśladownictwa energicznie odrzucać.

Każda prawdziwa butelka jest zaopatrzona plombą metalową z Orłem.

Ceny z opłaconą pocztą i opakowaniem są następujące:

2 fl. zł. **5.—** 10 fl. zł. **19.—**
5 fl. zł. **10.—** 20 fl. zł **35.—**

Reumatyzm

gościec, postrzał, ischias, łamania, nadwyrężenia, kłucia z powodu przeziębienia, ból głowy, zębów, katar, przeziębienia, bole żołądka, kurcze i t. p. usuwa

Pain Expeller z orłem

wyrobu Mra Krzysztoforskiego

Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema zamawiać wprost z fabryki — we własnym interesie, by ustrzedz się przed **bezwartościowemi podróbkami** żądać wyraźnie Pain Expeller z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego — naśladownictwa energicznie odrzucać.

Ceny z opłaconą pocztą i pakowaniem są następujące: 2 flaszki zł. 4·50, 5 fl. zł. 9·50, 10 fl. zł 17·00, 20 fl. zł. 31·00

Fabryka chemiczna Mr. Krzysztoforski Tarnów, ul. Towarowa 8.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.
Fabryka Powroźnicza
Stanisława Wałkowińskiego
w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.



ZEGARKI

z amerykańskiego nowego złota

»Amer. d'OR« niczem się nie różni od prawdziwego złota 14 kar. tylko za zł. 8.75. Uwaga: Zegarki nasze nic nie mają wspólnego z zegarkami innych reklam. Wysyłamy pocztą za zaliczeniem elegancki zegarek. Chód dźwięczny na kamieniach, wyregulowany do minuty z gwarancją za dobry chód na 8 lat. 2 szt. 17 zł., 4 szt. 32.50, 6 szt. 47.50. Lepszego gatunku 11.50, 15, 18, 21, 25, 35 zł. Na rękę z paskiem niklowe 14, 17, 20, 25, 30, 35, 40, 50 i 57. — **Kryty Ankier z trzema kopertami amer. zł. 16.75,** 19, 22, 26, 30, 35, ręczne z paskiem lepszego gatunku 20, 25, 37, 45, 55, 65. Budziki stołowe 15, 17 i 20, lepszego gatunku 25, 30 i 40 zł. Łańcuszki z nowego złota po 2.15, 3, 3.75, 4.85 i 6 zł. Zegarki reklamowe kieszonkowe marki „Chronometr" niklowe po cenie 5.87, 2 szt. 11.60, 3 szt. 17.20, 5 szt. zł.28.50, 7 szt. 39.50, 10 szt. 55.85.

Za koszta przesyłki i opakowanie płaci kupujący.

FABRYCZNY SKŁAD GENEWSKICH ZEGARKÓW
JÓZEF JAKUBOWICZ, Warszawa, Sienna 27, Oddział 41.

Mnóstwo listów dziękczynnych.
Z powodu braku miejsca zamieszczamy niektóre.

Sz. P. Józef Jakubowicz
Niniejszem zamawiam zegarek z amer. złota. Jest to już t r z e c i zegarek. Z poprzednich jestem bardzo zadowolony. Teodor Bławat, kierownik szkoły Klonia.

Dobry zegarek kupisz tylko w znanej we wszystkich dzielnicach kraju firmie J. Jakubowicz, Warszawa 41.

Wyciąć! Zachować! Rekomendować!

Firma egzystuje od roku 1900. Nagrodzona wieloma złotemi medalami i krzyżami.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na „Rolę".